

CARLO CARRETTO

**LISTY  
Z PUSTYNI**

PRZEŁOŻYŁ  
STANISŁAW WALDEMAR GAUDYN

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX 1978

## WPROWADZENIE

Wezwanie Boże jest zawsze czymś tajemniczym, przychodzi bowiem w mroku wiary.

Dociera ono do nas przeważnie głosem tak słabym i delikatnym, że potrzeba pełnej wewnętrznej ciszy, aby je usłyszeć.

Jednak nie ma nic tak przełomowego i wstrząsającego, nic tak oczywistego i obezwładniającego dla człowieka na ziemi.

To wezwanie daje znać o sobie ustawicznie: Bóg wzywa nieustannie! Są wszelako charakterystyczne momenty tego Bożego wezwania, momenty, które właśnie pragniemy upamiętnić w naszym notatniku i których nigdy nie zapomnimy.

Trzy razy w moim życiu usłyszałem to wezwanie.

Pierwsze spowodowało moją wewnętrzną przemianę, a miałem wówczas 18 lat. Byłem wtedy nauczycielem w szkole podstawowej na wsi.

Z okazji Wielkiego Postu odbywały się w mojej parafii misje. Postanowiłem wziąć w nich udział. Pamiętam, że pozostało mi po nich wspomnienie staroświeckiego i nużącego kaznodziejskiego gładzenia. Mogę więc stwierdzić, że to na pewno nie słowa kaznodziei wstrząsnęły moim stanem obojętności i grzechu. Dopiero kiedy ukląknęłam, aby się wyspowiadać przed starym misjonarzem, którego jasne i dobrotliwe oczy utkwily mi w pamięci, doświadczyłem w cichości ducha nawiedzenia Boga.

Od tamtego dnia poczułem się chrześcijaninem i stwierdziłem, że moje życie się zmieniło.

Drugi raz powtórzyło się to, kiedy miałem 23 lata. Zamierzałem się ożenić i nie przeczuwałem nawet, że może istnieć dla mnie jakaś inna droga.

Spotkałem lekarza, który opowiadał mi o Kościele i o pięknie służenia mu całym naszym jestestwem, i to nawet gdy pozostaje się w świecie. Nie wiem, co się wydarzyło w owych dniach i jak do tego doszło; pamiętam jednak, że gdy się modliłem w opustoszałym kościele, do którego wszedłem, aby zrzucić nawał myśli, jakie zaprzętały mój umysł, dobiegł mnie ten sam głos, który usłyszałem podczas spowiedzi u starego misjonarza. „Ty się nie ożenisz; ty mi ofiarujesz swoje życie. Ja będę twoją miłością na zawsze.”

Nie było dla mnie rzeczą trudną zrezygnować z małżeństwa i poświęcić się Bogu, ponieważ wszystko przemieniło się we mnie, Bóg tak bardzo wypełnił moje życie, iż wydało mi się czymś niebywałym, bym mógł zakochać się w dziewczynie.

Ale oto nadeszły lata pełne pracy, porywów, spotkań z moimi najbliższymi, lata wielkich marzeń. Gdy chodzi o błędy, to było ich wiele, a brały się z tego, co splatało się we mnie i co nie było jeszcze wystarczająco oczyszczone w moim życiu.

Mineło wiele lat. Ileż razy pragnąłem usłyszeć jeszcze ów głos, który miał dla mnie tak wielkie znaczenie.

I zdarzyło się to, miałem wówczas 44 lata; było to najważniejsze wezwanie w moim życiu: wezwanie do życia kontemplacyjnego. Zrodziło się ono z głębi wiary, gdzie ciemność jest zupełna i gdzie siły ludzkie już nic nie mogą zdziałać.

Tym razem już zmuszony byłem, nic z tego nie pojmując, powiedzieć „tak”. „Zostaw wszystko i chodź za mną na pustynię. Nie chcę już twojego działania, pragnę jedynie twojej modlitwy i twojej miłości.”

Ktoś, widząc mnie wówczas, jak wyjeżdżałem do Afryki, mógłby pomyśleć, że czynię to z przygnębienia i rezygnacji. Nic bardziej nieprawdopodobnego. Jestem z natury takim optymistą i tak pełen nadziei, iż nie wiem, co to przygnębienie i rezygnacja z walki.

Nie, to było decydujące wezwanie. I nigdy nie pojąłem go tak dobrze jak owego wieczora w 1954 roku, podczas nieszporów ku czci św. Karola, kiedy powiedziałem temu Głowski „tak”.

„Chodź za mną na pustynię.” Jest coś większego niż twoje działanie: **modlitwa**. Jest siła potężniejsza niż twoje słowo: **miłość!**

I udałem się na pustynię.

Nie znając nawet **Konstytucji Małych Braci Jezusa**, wstąpiłem do ich **Zgromadzenia**; nie wiedząc nic o Karolu de Foucauld, poszedłem w jego ślady.

Wystarczyło mi, że **posłuchałem głosu**, który mi rzekł: „To jest twoja droga”.

Podążając z Małymi Braćmi Jezusa pustynnymi szlakami, odkryłem błogosławieństwo tej drogi; szedłem śladem ojca de Foucauld i przekonałem się wówczas, iż jest to moja droga.

Wszak Bóg, w głębi mojej wiary, już mi to powiedział.

Ale czy dobrze robię, pisząc to wszystko?

Kiedy przybyłem do El Abiod Sidi Seik, mój mistrz nowicjatu powiedział mi z całkowitym spokojem człowieka, który przeżył dwadzieścia lat na pustyni: „Il faut faire une coupure, Carlo”.<sup>1</sup>

Zrozumiałem, co wyrażało to zdanie i zdecydowałem się dokonać tego cięcia, nawet choćby miało być bolesne.

---

<sup>1</sup> „Trzeba dokonać cięcia, Karolu”. (Przyp. tłum.).

Przechowywałem w plecaku gruby zeszyt w którym miałem zanotowane adresy przyjaciół: było ich tysiące.

Pan w swojej dobroci nie pozbawił mnie nigdy radości przyjaźni i sterował łodzią mojego życia po prawdziwej rzece miłości.

Jeżeli pozostawało we mnie ukryte cierpienie to jedynie dlatego, iż nie było mi dane — w chwili mojego wyjazdu do Afryki — porozmawiać z każdym z moich przyjaciół, wyjaśnić motywy odejścia, powiedzieć, że jestem posłuszny wyraźnemu wezwaniu Boga i że, chociaż w innych okopach, dalej będę walczył wraz z nimi na polu apostołstwa.

Trzeba było teraz dokonać tego sławetnego „cięcia” — uczyniłem je odważnie i z bezgranicznym zaufaniem Bogu.

Wziąłem notes, który był jakby ostatnim ogniwem łączącym mnie z przeszłością, i po całodziennym wahaniu poszedłem go spalić za pustynną wydumą.

Mam jeszcze dotąd przed oczyma szerniałe szczątki strawionego ogniem zeszytu, unoszone w dal wiatrem Sahary.

Ale spalenie adresów nie oznacza zerwania przyjaźni, zresztą tego ode mnie nie żądano; przeciwnie...

Nigdy nie miłowałem tak bardzo moich starych przyjaciół i nigdy tak bardzo nie modliłem się za nich, jak w samotności na pustyni. Stawały mi przed oczyma ich twarze, wczuwałem się w ich problemy, w ich cierpienia powiększane przez odległość.

Stali się oni dla mnie jakby trzodą, którą powierzono na zawsze mojej opiece i którą miałem prowadzić ze sobą każdego dnia do źródła modlitwy.

Ich obecność czułem niemal fizycznie, kiedy

wchodziłem do kościoła, w stylu arabskim w El Abiod, lub później w słynnych pustelniach zbudowanych przez samego ojca de Foucauld, w Tamanraset, w Asekrem.

Modlitwa stała się moim najdonioślejszym zobowiązaniem, najcięższym codziennym trudem i wtedy to, dzięki memu powołaniu, zrozumiałem, co oznacza „dźwigać innych” w naszej modlitwie.

Z perspektywy lat mogę powiedzieć, iż dotrymałem swego zobowiązania, albowiem coraz bardziej oczywista stawała się pewność, że modlitwa nie jest bynajmniej jakąś „stratą” czasu, lecz właśnie najdoskonalszą formą działania, najlepszym sposobem przyjścia z pomocą tym, których kochamy.

Pozostaje sprawa notesu z adresami, którego już nie mam, ale — istnieją przecież inne możliwości nawiązania kontaktu z przyjaciółmi.

Chciałbym wyznaczyć im spotkanie w jednym z tyłu cudownych miejsc na Saharze... pod wieczór, przy zachodzie słońca; chciałbym, abyśmy się spotkali wszyscy jak wtedy, tego pamiętnego wieczoru we wrześniu 1948 roku, na placu Św. Piotra w Rzymie. Czy pamiętacie?

Tutaj obyłoby się bez pochodni — tak bardzo niebo jest jasne od gwiazd.

Usiedlibyśmy na piasku i spędzilibyśmy noc na opowiadaniu sobie o życiu w minionych latach, o zakończonych etapach, o nabytych doświadczeniach.

Myślę, że brzask budzącego się dnia zastałby nas jeszcze na rozmowie.

Ze swej strony chciałbym zanotować tutaj, w tych listach z pustyni, wszystko to, co bym powiedział, jeśli mi była dana jakakolwiek po temu okazja i co z pewnością stanowi część mnie samego.

Nie ma w nich nic logicznie uporządkowanego, nic nadzwyczajnego. Niektóre myśli dojrzewały w samotności i skupiały się wokół czynności, która była bez wątpienia największym darem, jaki mi złożyła Sahara: modlitwy.

Wy, moi drodzy starzy Przyjaciele, oceńcie, czy zrobiłem dobrze czy źle, pisząc to wszystko. Mnie wystarczy przeświadczenie, że dopomoże to Wam w nowym świetle ujrzeć i przemyśleć te sprawy, które leżały u podstaw naszej przyjaźni.

Wasz mały brat  
**CARLO CARRETTO**

## POD WIELKIM KAMIENIEM

Szlak, biały od słońca, wił się przede mną niepewnym zarysem. Koleiny w piasku, wyżłobione kołami ogromnych samochodów-cystern do przewozu ropy naftowej, zmuszały mnie do ciągłej gimnastyki, by nie stracić panowania nad kierownicą jeepa.

Słońce stało już wysoko i czułem się nieco znużony. Jedynie dzięki wiatrowi, który owiewał przód maski samochodu mogłem jechać dalej, chociaż upał był piekielny i woda wrzała w chłodnicy. Od czasu do czasu kierowałem wzrok ku horyzontowi. Wiedziałem, że gdzieś tam znajdowały się wielkie bloki granitu, wynurzające się z piasku: upragnione miejsca ochłody, gdzie można rozbić obóz i doczekać wieczora, aby znów ruszyć w dalszą drogę.

Toteż koło południa znalazłem to, czego szukałem. Po lewej stronie drogi ukazały się olbrzymie skały; przybliżyłem się do nich, pewien, że znajdę tam trochę cienia.

Nie rozczarowałem się. Od północnej ściany potężnego głazu, wysokiego na jakieś dziesięć metrów, ścielił się na czerwonym piasku ostro rysujący się cień. Ustawiłem jeepa pod wiatr, żeby ostudził się silnik, i wydobyłem gness, czyli wszystko to, co jest niezbędne do rozbicia obozu: matę, worek z żywnością, dwa koce i trójnóg nad ognisko.

Ale zbliżając się do rzucającej cień skały, spostrzegłem, iż byli tam już goście: dwie żmije, zwi-



nięte w kłębek, leżały na gorącym piasku i przyglądały mi się uważnie. Nie tracąc ich z oczu, odskoczyłem do tyłu. Zbliżyłem się do jeepa, wziąłem strzelbę, stary obrzynek, który pożyczył mi pewien tubylec, abym mu pomógł tępić szakale, te bowiem, pchane głodem i pragnieniem, napadały na jego trzode.

Nabiłem strzelbę średniej wielkości ładunkami; oddaliłem się nieco, z zamiarem trafienia obu gadów jednym strzałem, by nie marnować drugiego naboju. Wypaliłem. Obie bestie w kłębach piasku podskoczyły w górę. Oczyszczając miejsce z krwi i strzępów żmij, zobaczyłem, że z rozprutego brzucha jednej z nich wylania się jeszcze nie strawiony ptaszek.

Rozłożyłem matę, która na pustyni jest wszystkim: kaplicą, jadalnią, sypialnią, salonem... Usiadłem.

Była pora sjesty, wziąłem do ręki brewiarz.

Odmówiłem kilka psalmów, ale z pewnym wysiłkiem z powodu zmęczenia i wydarzenia z owymi gadami, które co chwila — pomiędzy wersetami — rozrywały mi się na kawałki. Piekielny żar nadciągał od południa i zaczynała mnie boleć głowa. Wstałem, sprawdziłem, ile mi jeszcze pozostaje wody na dojazd do studni w Tit, i postanowiłem zużyć jej trochę. Zaczepnąłem litrową manierką z bukłaka z koziej skóry i wylałem sobie na głowę. Woda wsiąknęła w turban, spłynęła mi po szyi i po ubraniu; reszty dokonał wiatr; temperatura z 45 stopni spadła w ciągu kilku minut do 27. Z tym uczuciem chłodu i orzeźwienia rozciągnąłem się na piasku, żeby się przespać, gdyż na pustyni sjestą zawsze poprzedza obiad.

Rozejrzałem się za kocem, ażeby się wygodniej usadowić, i położyć go sobie pod głowę. Miałem

ich dwa. Jeden leżał obok bezużytecznie i patrząc nań poczułem się nieswojo.

Ale jeśli chcecie zrozumieć przyczynę mojego nastroju, musicie wysłuchać następującej opowieści.

Poprzedniego wieczora przejeżdżałem przez Irakofok, małą wioskę murzyńską, której mieszkańcy byli niegdyś niewolnikami Tuaregów. Jak to zwykle bywa, kiedy przyjeżdża się do wioski, jej mieszkańcy nadbiegają i cisną się wokół jeepa, czy to z ciekawości, czy też ze względu na te drobne przysługi, które wyświadczają podróżnicy przejeżdżający pustynnym szlakiem: przywożą trochę herbaty, rozdzielają lekarstwa, dostarczają pocztę.

Tego właśnie wieczora ujrzałem starego Kadà, który trząśł się z zimna. Wydaje się rzeczą dziwną mówienie o zimnie na pustyni, ale to jednak prawda; nawet określenie Sahary jest następujące: „zimna kraina, gdzie jest bardzo gorąco, kiedy świeci słońce”. A słońce już zaszło i Kadà drżał.

W pierwszej chwili zapragnąłem dać mu jeden z dwóch koców, które stanowiły mój gness; ale natychmiast odpędziłem tę myśl od siebie. Pomyślałem o nocy i zdałem sobie sprawę z tego, iż ja także będę się trząśł z zimna. Ta odrobina miłosierdzia, która tkwiła we mnie, powróciła nagle i dała mi do zrozumienia, że moja skóra nie jest więcej warta niż jego i że dobrze zrobiłbym, dając mu jeden koc; a jeślibym nawet trząśł się z zimna, z pewnością nie zaszkodziłoby to małemu bratu.

Kiedy opuszczałem wioskę, obydwa koce pozostały w jeepie; teraz leżały przede mną jak wyrzut i upokarzająca wymówka.

Usiłowałem zasnąć ze stopami opartymi o wielką skałę, lecz nie udawało mi się to. Przypomnia-

ło mi się, iż pewien Tuareg miesiąc temu został zmiądzony skałą właśnie wtedy, kiedy ucinął sobie drzemkę. Podniosłem się, aby się upewnić, czy skała jest mocno osadzona: stała raczej niepewnie, ale nie aż tak, aby mogła być niebezpieczna.

Ułożyłem się z powrotem na piasku. Jeślibym powiedział, że śniłem, wydawałoby się wam to dziwne. Ale najdziwniejsze jest to, że śniłem, iż śpię pod wielkim kamieniem i że w pewnej chwili... Nie wydało mi się to wcale snem: zobaczyłem, kamień się obsuwa; poczułem, że skała leci na mnie. Cóż to za straszna chwila!

Zostałem przygnieciony. Poczulem, jak trzeszczą mi kości i wydało mi się, że jestem martwy. Nie: żyję, ale z ciałem zmiądzonym pod skalnym głazem. Zdumiałem się, że nie czuję nigdzie bólu: byłem jedynie unieruchomiony. Otworzyłem oczy i ujrzałem starego Kadà, który trząsł się z zimna w Irafok. W tej chwili nie wahałem się dać mu koca, tym bardziej, iż leżał on bezużytecznie blisko mnie, w odległości zaledwie metra. Usiłowałem wyciągnąć rękę, aby mu go podarować; lecz kamień, który mnie przygniótł, nie pozwalał na najmniejszy nawet ruch. Zrozumiałem, że to był czyściec i że cierpienie duszy polegało na „niemożności uczynienia tego, co wcześniej mogło i powinno się było uczynić”. Kto wie, ile lat będę jeszcze widział przed oczyma ten koc leżący blisko mnie — kiedy to znajdowałem się w tak niewygodnej pozycji — i świadczący o moim egoizmie, a więc o mojej niedojrzałości, by wejść do Królestwa łaski.

Próbowałem zastanowić się, jak długo pozostanę pod kamieniem. Odpowiedź podsunął mi katechizm: „Dotąd, aż będziesz zdolny do aktu miłości doskonałej!” W tamtej chwili nie czułem się do tego zdolny.

Akt miłości doskonałej ukazuje nam Jezus wstę-

pujący na Kalwarię, aby umrzeć za nas wszystkich. Mnie, członkowi Jego Ciała Mistycznego, postawiono pytanie, czy doszedłem do takiej dojrzałości, żebym mógł pójść w ślady mojego Mistrza, na Kalwarię, dla zbawienia moich braci. Widok koca, odmówionego staremu Kadà poprzedniego wieczora, oznajmił mi, że mam jeszcze długą drogę do przebycia! Skoro potrafiłem patrzeć na brata, drżącego z zimna i przejść obok, czy mógłbym być zdolny oddać życie za niego na podobieństwo Jezusa, który umarł za wszystkich? Zdałem sobie sprawę, iż jestem zgubiony; i że, jeśli nie przybędzie Ktoś, aby mi pomóc, przeminą całe epoki geologiczne, zanim będę mógł się poruszyć.

Skierowałem wzrok gdzie indziej i spostrzegłem, że wszystkie te olbrzymie pustynne skały były grobowcami innych ludzi. Oni także, sądzeni z ich czynów miłości i uznani za nieczułych, oczekują Tego, który powiedział: „Ja was wskrzeszę w dniu ostatecznym”.

## BĘDZIECIE SĄDZENI Z WASZEJ MIŁOŚCI

Jeszcze dziś nie umiałbym wam powiedzieć, czy wydarzenie pod wielkim kamieniem było tylko snem i jakiego rodzaju snem.

W każdym razie wywarło ono tak silny wpływ na mój sposób myślenia, tak bardzo zmieniło perspektywy, w jakich ocenia się rzeczy, że nigdy nie mogłem go wiązać z tym, co zwykle odczuwamy, kiedy budząc się mówimy: „Miałem sen”.

Nie i jeszcze raz nie: to było coś więcej. Dla mnie ten odcinek drogi pomiędzy Tit i Silet stał się miejscem mojego czyścca, miejscem, w którym mojej duszy łatwo się skupić na rozważaniu spraw boskich i do którego... zapragnę prawdopodobnie powrócić po śmierci, aby się dalej oddawać pokucie, jeżeli nie będę w życiu zdolny do dokonania aktu miłości doskonałej.

Oto wielki kamień pod palącym słońcem Sahary, jego ostro zarysowujący się cień na rozgrzanym piasku, sięgający aż horyzontu, zorany kołami ciężarówek i jeepów nacierzy i geologów.

„Będziecie sądzeni z waszej miłości” — przypomina mi moją obojętność to miejsce, a moje oczy rozpalone słońcem spoglądają na bezchmurne niebo.

Nie chcę się już oszukiwać, nie mogę się już więcej oszukiwać. Rzeczywistość jest taka, iż ze strachu przed chłodem nocy nie byłem zdolny dać swojego koca staremu Kadà. Rzeczywistość ta oznacza, że kocham bardziej własną skórę niż skórę mojego brata, aczkolwiek przykazanie Boże

mówi: „Miłuj życie innych, tak jak swoje własne”.

To przykazanie zostało dane już w Starym Testamencie, przy pierwszym objawieniu się Boga człowiekowi: „Będiesz miłował Boga nade wszystko, a bliźniego swego, jak siebie samego”.<sup>1</sup>

Ale kiedy otworzymy Nowy Testament, objawienie dane nam przez Jezusa, sprawy nabierają innego wymiaru: „Abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem”.<sup>2</sup>

Jak „Ja”! To znaczy mam oddać nie tylko koc, ale samo życie. Akt miłości doskonałej polega bowiem na tym, ażeby być gotowym czynić to, co uczynił Jezus: umarł za starego Kadà, za mnie, za wszystkich ludzi.

W takim ujęciu niebo jest tym miejscem, którego każdy mieszkaniec powinien być w takim stopniu „doskonały w miłości”, żeby był zdolny oddać swoje życie za innych.

To jest właśnie ta miłość doskonała, powszechna, całkowita, bez cienia wrogości, uprzedzenia, ograniczenia, gdyż to wszystko spalone zostało w niej jak w ogniu.

Kto jest gotów do tego, niech podniesie rękę!

Oto dlaczego — po doświadczeniu widzenia pod wielkim kamieniem — staje mi przed oczyma mój czyściec jako potwornie długi, może tak długi jak ery geologiczne.

Ten piasek, którego dotykam rękoma, który przesypuje mi się między palcami, pochodzi jeszcze z ery paleozoicznej. Pewien geolog powiedział mi: ma już 350 milionów lat.

---

<sup>1</sup> Pwt 6, 5. Przy doborze cytatów korzystałem z I i II wydania Biblii Tynieckiej. Autor *Listów z pustyni* często skraca cytaty biblijne, a niekiedy nawet je parafrazuje — przyp. tłum.

<sup>2</sup> J 13, 34.

Olbrzymie gady, które zamieszkiwały te obszary i których szczątki widziałem w rozpadlinach Sahary, żyły w erze mezozoicznej: 130 milionów lat temu. Te wielbłądy, które dźwigają sól do Nigru i które przeciągają długimi i wzbudzającymi podziw karawanami, mają swoich przodków w odległym trzeciorzędzie: 70 milionów lat temu. A człowiek, ten człowiek tak wielki, a zarazem tak mały, jakże powoli wyłania się z mroków historii i wchodzi na cmentarzyska zwierząt, które go poprzedziły!

On pojawił się dopiero w czwartorzędzie, jakby wczoraj: 500 tysięcy lat temu.

Bóg nie śpieszy się ze stwarzaniem; czas należy do Niego, a nie do mnie. Ja zaś, nędzne stworzenie, człowiek, zostałem wezwany do wewnętrznej przemiany w Bogu, przez uczestnictwo w Jego życiu. A tym, co mnie przemienia, jest miłość, którą Bóg tchnął w moją istotę.

Miłość przemienia mnie i kształtuje powoli w Nim.

Grzechem jest właśnie opierać się tej przemianie, potrafić i odważyć się powiedzieć „nie” miłości!

Życ w egoizmie oznacza zatrzymać się na płaszczyźnie czysto ludzkiej i uniemożliwiać sobie przekształcanie się w nadprzyrodzonej miłości.

I dopóki nie przemienię się „przez uczestnictwo” w życiu Boga, poprzez miłość, należeć będę do „tej ziemi”, a nie do „tamtego nieba”.

Sakrament chrztu wyniósł mnie do stanu nadprzyrodzonego, lecz taki stan musi jeszcze dojrzewać i całe życie jest nam dane na to dojrzewanie. To właśnie miłość, miłość Boga, nas przekształca.

To, że oparłem się miłości, że nie potrafiłem odpowiedzieć na jej wezwanie: „Daj koc twojemu bratu” — jest tak ciężkim przewinieniem, iż sta-

wia między mną a Bogiem bramę mojego czyśćca.

Jaką ma wartość dobre odmawianie brewiarza, uczestniczenie we Mszy świętej, skoro nie akceptuje się miłości?

Co warte jest wyrzeczenie się przez człowieka wszystkiego i zawędrowanie aż tu, między piasek i skwar, jeżeli opiera się on miłości?

Na co się zda bronienie prawdy, spieranie o dogmaty z teologami, oburzanie się na tych, którzy nie wyznają tej samej wiary, jeżeli ma się następnie pozostać, przez całe epoki geologiczne w czyśćcu?

„Będziecie sądzeni z waszej miłości” — krzyczy do mnie ten skrawek pustyni między Tit i Silet.

„Będziecie sądzeni z waszej miłości” — mówi mi wielki kamień, pod którym odpokutuję swój czyściec w oczekiwaniu na to, aż dojrzeje we mnie miłość doskonała, ta, którą Jezus mi ukazał, gdy żył na ziemi, i którą dał mi za cenę swojej Krwi — wraz z okrzykiem wielkiej nadziei: „Ja was wskreszę w dniu ostatecznym!”<sup>3</sup>

Oby dzień ten nie był zbyt odległy!

---

<sup>3</sup> J 6, 40.



## JESTEŚ NICZYM

Wielkim błogosławieństwem nowicjatu odbywanego na Saharze jest bezsprzecznie samotność i radość płynąca z tej samotności, cisza. Cisza, prawdziwa cisza, która przenika wszędzie, która ogarnia całą ludzką istotę, która przemawia do duszy z nową i cudowną wprost siłą, na pewno nie znaną człowiekowi roztargnionemu.

Tutaj człowiek żyje zawsze w ciszy i uczy się odróżniać jej rozmaite odcienie: ciszę kościoła, celi zakonnej, pracy, ciszę wewnętrzną, ciszę duszy, ciszę samego Boga.

Ażeby nauczyć nas przeżywać te cisze, mistrz nowicjatu każe nam spędzić kilka dni na pustyni.

Koszyk z chlebem, trochę daktyli, woda, Pismo święte. Dzień marszu, wreszcie grotą.

Kapłan odprawia Mszę świętą; potem odchodzi, pozostawiając w grocie, na ołtarzu z kamieni, Najświętszy Sakrament. Tak przez cały tydzień pozostanie się sam na sam z Najświętszym Sakramentem, wystawionym dzień i noc.

Cisza na pustyni, cisza w grocie, cisza w Najświętszym Sakramencie. Żadna modlitwa nie jest tak trudna jak adoracja Najświętszego Sakramentu. Natura ludzka buntuje się tutaj ze wszystkich sił.

Wolałoby się raczej kamienie dźwigać w żarze słońca. Zmysły, umysł, wyobraźnia — to wszystko jest umartwione. Tylko wiara tryumfuje, wiara surowa, mroczna, bezbarwna.

Stanać przed tym, co ma wygląd chleba i powiedzieć: „Tam jest Chrystus żywy i prawdziwy” — to czysta wiara.

Nic nie daje tylu sił do życia, co właśnie ta czysta wiara, a modlitwa w takiej wierze jest najprawdziwszą modlitwą.

„Nie zaznaje się rozkoszy w adoracji Najświętszego Sakramentu” — powiedział mi pewien nowicjusz. Właśnie wyrzeczenie się tej rozkoszy czyni modlitwę treściwą i prawdziwą.

Modlitwa jest spotkaniem z Bogiem — nie poprzez zmysły, lecz poza nimi, poza wyobraźnią, poza naturą.

Na tym polega pierwszy stopień wyzucia się. Dopóki moja modlitwa pozostanie związana z przyjemnością, dopóty łatwe będą wzloty i upadki; po krótkotrwałych i pełnych entuzjazmu uniesieniach następować będą przygnębienia. Wystarczy ból zębów, ażeby unicestwić całą religijną gorliwość, osiągniętą dzięki odrobinie estetycznego przeżycia lub sentymentalnego wzruszenia.

„Musisz ogołocić swoją modlitwę” — powiada mistrz nowicjatu. „Trzeba ją uprościć, uniezależnić od umysłu. Stań przed Jezusem jako biedak: bez jakichkolwiek idei, ale z żywą wiarą. Pozostań niewzruszony w akcie miłości przed Ojcem. Nie usiłuj dosięgnąć Boga rozumem: nie uda ci się to nigdy; spróbuj dosięgnąć Go w miłości, to jest możliwe.”

Taka walka nie jest wcale łatwa; natura żąda bowiem zadośćuczynienia stawianym przez nią wymaganiom, domaga się prawa do przyjemności, a zjednoczenie z Jezusem ukrzyżowanym jest czymś zupełnie innym.

Po kilku godzinach — lub po kilku dniach — takiej gimnastyki ciało się uspokaja. Doświadczysz, że wola odmawia mu zmysłowego zado-

wolonia, przestaje się go wreszcie domagać; staje się bierne. Zmysły uspokajają się. Mało jedzenia, dużo czuwania i modlitwa z pokorną prośbą, czynią siedlisko duszy miejscem zacisznym i pełnym spokoju. Zmysły już śpią. Co więcej, jak to mówi św. Jan od Krzyża, zaczyna się „noc zmysłów”. Modlitwa, chociaż jest nużąca i jałowa, staje się czymś poważnym. Tak poważnym, iż nie można się bez niej obejść. Dusza łączy się ze zbawczym wysiłkiem Jezusa.

Kłęcząc na piasku przed prostą monstrancją, w której był Jezus, myślałem o złu tego świata: nienawiściach, przemocy, niegodziwościach, nadużyciach seksualnych, kłamstwach, egoizmie, zdradach, bałwochwalstwie, cudzołóstwie. Kryjąca mnie grotą stała się rozległa jak świat; oczyma duszy wpatrywałem się w Jezusa, przytłoczonego ciężarem tak wielkiego zła.

Nie jestże Hostia już w samym swoim kształcie chlebem spłaszczonym, rozgniecionym, upieczonym? Nie zawiera Męza boleści, Chrystusa-ofiary, Baranka zabitego dla naszych grzechów?

A jaka jest moja postawa względem Niego?

Przez wiele lat myślałem, że jestem „kimś” w Kościele. Wyobrażałem sobie nawet tę świętą budowlę jako świątynię podtrzymywaną przez wiele małych i dużych kolumn, a każdą kolumnę wspartą na barkach jednego chrześcijanina.

Sądziłem, że także na moich barkach spoczywa choćby niewielka kolumna.

Przez ciągłe powtarzanie sobie, że Bóg potrzebuje ludzi i że Kościół potrzebuje bojowników, uwierzyliśmy w to.

Budowla wspierała się na naszych barkach.

Bóg po stworzeniu świata odpoczął; Chrystus, po założeniu Kościoła, wstąpił do nieba. Cały dalszy trud został powierzony nam, Kościołowi. Nade

wszystko my, członkowie Action Catholique, byliśmy prawdziwymi tragarzami, dźwigającymi ciężar dnia powszedniego.

Przy takim podejściu do zadań nie byłem już zdolny wykroić czasu na spędzenie wakacji; nawet we śnie czułem się bojownikiem. A pracy było tak wiele, że aby sprostać jej ogromowi, nigdy nie było za dużo czasu. Przechodziło się zawsze w biegu od jednego do drugiego zadania, z jednego zebrania na drugie, jechało się z pośpiechem z jednego miasta do drugiego. Modlitwę odmawiało się w pośpiechu, przemówienia wygłaszało się w szybkim tempie, serce biło szybko...

Skoro wszystko zależało od nas i wszystko szło tak źle, był prawdziwy powód do niepokoju.

Ale kto to dostrzegał? Życie wypełnione tego rodzaju działalnością wydawało się przecież tak słuszne i prawdziwe!

Już jako dzieciom wpajano nam, byśmy byli „zawsze pierwsi we wszystkim dla chwały Chrystusa Króla”; później w latach młodości, mówiło się nam: „jesteś przewodnikiem!”; dorostym już powtarzano: „jesteś za wszystko odpowiedzialny, jesteś przywódcą, jesteś apostołem”. Przez to ciągle pragnienie, by stać się „kimś”, dusza się wypaczała, a słowa Jezusa: „słudzy nieużyteczni jesteście”, „beze Mnie nic uczynić nie możecie”, „kto z was chce być pierwszym, niech będzie ostatnim” zdawały się przeznaczone dla innych ludzi, dla innych czasów i spływały po skamieniałej duszy, nie drażąc, nie przenikając i nie zmiękczając jej.

Charakterystyczny jest tutaj przykład mego życia. Mój pierwszy nauczyciel powiedział mi: „bądź zawsze pierwszy we wszystkim dla chwały Chrystusa Króla”, a ostatni, Karol de Foucauld, zalecił

mi: „bądź ostatnim ze wszystkich ze względu na miłość dla Jezusa Ukrzyżowanego”.

Wydaje się, że obydwaj mieli rację i że winnym wszystkiemu byłem ja sam, gdyż nie zrozumiałem dobrze danych mi pouczeń.

W każdym razie byłem tam, klęcząc na piasku w grocie, która nabrała rozmiarów całego Kościoła; czułem na swych barkach tę kolumnienkę podtrzymywaną przeze mnie, bojownika. Być może, iż był to moment przejrzenia na oczy.

Cofnąłem się nagle do tyłu, jakbym chciał się uwolnić od tego ciężaru. I cóż się stało? Wszystko pozostało na swoim miejscu, nieporuszone. Nie pojawiły się ani rysy na sklepieniu, ani nie usłyszałem skrzypnięcia.

Dopiero po dwudziestu pięciu latach spostrzegłem, iż na moich barkach nie spoczywa dosłownie nic i że kolumna była wymyślona, sztuczna, stworzona przez moją wyobraźnię, przez moją próżność.

Chodziłem, biegałem, przemawiałem, organizowałem, pracowałem, sądząc że coś podtrzymuję — a w rzeczywistości niczego nie podtrzymywałem.

Cały ciężar świata spoczywał na Ukrzyżowanym Chrystusie. Ja byłem niczym, dosłownie niczym.

Należało uwierzyć słowom Jezusa, który już przed dwoma tysiącami lat powiedział: „Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono: Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to co powinniśmy wykonać”.<sup>1</sup>

Słudzy nieużyteczni!

---

<sup>1</sup> Łk 17, 10.

## KTO KIERUJE ŚWIATEM?

Pierwszym wrażeniem, jakie pozostało mi po tej przygodzie, było uczucie wolności. Wolności nowej, nieograniczonej, prawdziwej, radosnej.

Odkrycie, że byłem niczym, że za nikogo nie byłem odpowiedzialny, że nie byłem kimś znaczącym, napełniło mnie radością chłopca, który cieszy się wakacjami.

Nadeszła noc, a ja nie mogłem zasnąć. Wyszedłem z groty i przechadzałem się pod gwiazdami po bezkresnej pustyni.

„Mój Boże, jak Cię kocham; mój Boże, jakże ja Cię kocham” — krzyczałem w niebo pośród oszłamiającej ciszy.

Znużony chodzeniem, wyciągnąłem się na pustynnej wydmie i skierowałem wzrok na niebo usiane gwiazdami. Jakże drogie były mi te gwiazdy, pustynia jakże mi je przybliżyła! Zapragnąłem dowiedzieć się ich nazw, zbadać je, poznać jedną po drugiej. Teraz zacząłem odróżniać je po barwie, wielkości, położeniu na niebie, piękności. Potrafiłem się już orientować według nich na pierwszy rzut oka, a z ich położenia ustalałem godzinę, obywając się bez zegarka.

Oto gwiazdozbiór Łabędzia, który wydaje się rozmawiać z Altairem, jaśniej jak brylant. Strzała i Delfin, przyczajone w swoich niewielkich wymiarach, wydają się czegoś nasłuchiwać. Pegaz cwałuje na wschodzie ze swym gwiazdnym kwadratem, podczas gdy Perła niknie na zachodzie.

Wkrótce czerwona gwiazda Algol, ukaże mi elegancję Perseusza.

Zwracam oczy ku Andromedzie. Noc jest tak jasna, że zaczynam dostrzegać mgławicę, która nosi nazwę konstelacji.

Jest to najdalsze ciało niebieskie, dostrzegalne z ziemi gołym okiem: 800 tysięcy lat świetlnych.

Między tą olbrzymią odległością i tą najmniejszą — cztery lata świetlne dzielące nas od Proximy, która ukaże mi się za dwa lata w gwiazdozbiornie Centaura — są odległości tego całego ogromu 40 miliardów gwiazd, wchodzących w skład galaktyki, do której należymy my — małe ziarnko piasku zwane Ziemią.

A za mgławicą Andromedy znajdują się dalsze miliony mgławic i wiele miliardów gwiazd, których moje oczy nie widzą, ale które Bóg stworzył.

Dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, że ani jedna, nawet najmniejsza kolumna, która podtrzymuje wszechświat, nie spoczywa na moich barkach? Czy może wszechświat jest aż tak bardzo poza zasięgiem ludzi?

Zastanawiałem się nad tym.

To prawda, że Jezus powiedział: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody”<sup>1</sup>, ale dodał: „Beze Mnie nic uczynić nie możecie”<sup>2</sup>. To prawda, że św. Ignacy powiedział: „Czyńcie tak, jakby wszystko od was zależało”, ale dodał: „pamiętajcie jednak, iż wszystko zależy od Boga”.

Bóg jest tak stwórcą całego wszechświata, jak jest stwórcą świata ludzkiego. Bóg w równej mierze podtrzymuje gwiazdy, jak podtrzymuje Kościół. I chociaż chciał, z miłości, włączyć ludzi do dzieła zbawienia, to jednak zakres ich możliwości

---

<sup>1</sup> Mt 28, 19.

<sup>2</sup> J 15, 5.

działania jest bardzo mały i ograniczony: jest to zakres możliwości, jakie ma drut w stosunku do prądu elektrycznego.

My jesteśmy drutem, a Bóg jest prądem. Wszystkie nasze możliwości ograniczają się do umożliwienia przepływu prądu. Jest rzeczą pewną, że możemy go przerwać, możemy powiedzieć: nie; ale nic więcej.

A więc nie obraz kolumny, która podtrzymuje, ale drutu, który przewodzi moc.

Oczywiście czymś innym jest drut, a czymś zupełnie innym prąd: są one czymś całkowicie odmiennym; drut nie może się pysznić, choćby był nawet drutem przewodzącym prąd wysokiego napięcia.

Stwierdzenie, że wszystko, co jest na świecie, oczywiście i gwiazdy, jest w rękach Boga — a więc w dobrych rękach — poza tym, iż jest oczywistą prawdą, jest także faktem, który powinien sprawiać ogromną radość temu, kto pragnie, aby wszystko szło dobrze.

To stwierdzenie powinno być źródłem żywej wiary, radosnej nadziei, a nade wszystko głębokiego spokoju. Czemuż mam się obawiać, jeżeli wszystko jest kierowane i podtrzymywane przez Boga? Dlaczego mam tak bardzo o wszystko zabiegać, jak gdyby wszystkie te sprawy zależały tylko ode mnie i od moich towarzyszy, ludzi, zamiast szukać innych dróg do pokonywania, bardziej interesujących i korzystniejszych?

Jakże trudno jest jednak całkowicie uwierzyć w działanie Boga w świecie! Wydaje mi się, że ta pokusa jest najczęstsza i najtrwalsza, na jaką jesteśmy narażeni na tej marnej ziemi.

Całe Pismo święte świadczy o tym dramacie;



i w rzeczywistości, historia Ludu Wybranego nie jest niczym innym, jak tylko historią grupy ludzi, którym Bóg powtarza bezustannie i przy każdej sposobności: „Wierzycie we Mnie? Ja jestem Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba. Ja jestem Bogiem, który silną ręką wyprowadził cię z niewoli egipskiej, prowadziłem cię przez ziemię pustynną, żywiłem cię manną z nieba i dawałem ci pić wodę, która wytrysnęła ze skały. Dla ciebie zabiłem pierworodnych Egiptu, dla ciebie powaliłem potężnych królów. I cóż uczyniłeś, aby mi się odwdziaczyć za te cuda, za tę ciągłą opiekę? Wystawiłeś sobie bożki z drzewa i srebra i porzuciłeś mnie, twego Boga”.

„Miast wielbić Tego, który cię stworzył i ratował po tysiackroć przed twymi wrogami, na wysokich wzgórzach i w świętych gajach paliłeś kadzidło obcym bogom, którzy nic nie mogą, nic nie potrafią; bogom, którzy mają ręce, lecz nie dotykają; nogi mają, ale nie chodzą, gardłem swoim nie wydają głosu.”<sup>3</sup>

Oto jest historia wszystkich czasów, historia Izraela i nasza historia. My również wierzymy w Boga; a mimo to ufamy ludziom wpływowym, wierzymy w ich polecenia i jesteśmy przeświadczeni, iż sprawy tego świata są pewne w ich rękach i że tylko im powinniśmy je powierzać.

My również wierzymy w Boga i modlimy się do Niego; ale potem dochodzimy do wniosku, że jednak istnieją inni wielcy kaznodzieje, którzy posiadają moc przekształcić nasze dusze; i sprowadzamy naszą modlitwę o rozszerzenie Królestwa Bożego do czegoś błahaego, jakby do prośby skierowanej do urzędu, od którego nie oczekujemy i nie spodziewamy się prawie nic.

---

<sup>3</sup> Por. Ps 115, 7.

W ten sposób, pod zadziwiającym niebem, w nierealnym półcieniu wiary i sentymentalizmu, w tym ciągłym miotaniu się między Bogiem i światem, upływa to nasze nędzne życie religijne, będące mieszaniną modlitwy, sprzeczności i kompromisów.

Bóg tylko prawdziwie istnieje, Bóg tylko wie. Bóg tylko wszystko może. To jest prawda; i moja wiara pozwala mi ją poznawać z dnia na dzień coraz to głębiej.

Tylko Bóg kieruje wszechświatem, Bóg tylko wie, kiedy umrę, tylko Bóg może nawrócić Chiny.

Po co przypisywać sobie odpowiedzialność, która na nas nie spoczywa, po co dziwić się, że islam nie odkrył jeszcze w pełni Chrystusa i że buddyzm włada bez niepokojów i kryzysów sercami milionów braci? Nadejdzie godzina; ale ona nie zależy ode mnie.

Istnieje czy też nie istnieje Boża geografia, historia święta wszystkich narodów, zdążanie w czasie ku dojrzałości?

Abraham znał Jezusa jedynie w nadziei na spełnienie się obietnicy; ale nie dlatego został pominięty i zapomniany przez Ojca Niebieskiego. Nie nadszedł wówczas jeszcze czas Wcielenia; i jeżeli Jezus przyszedł wtedy, kiedy przyszedł, a nie wcześniej, to z całą pewnością dostosował się do zarządzeń Odwiecznej Mądrości. Są plany Boga i one jedynie się liczą; są też plany ludzi, lecz te nie mają znaczenia, lub tylko wtedy, kiedy zgadzają się z tymi pierwszymi.

To Bóg wszystko poprzedza, a nie człowiek. Nawet Maryja mogła umrzeć w oczekiwaniu na Chrystusa i nie ujrzałaby Go, gdyby Bóg nie zade-

cydował wówczas o nadejściu godziny Wcielenia. Ludzie z Galilei dalej łowiliby ryby w jeziorze, i dalej uczęszczaliby do synagogi w Kafarnaum, gdyby On nie przyszedł i nie powiedział: „Pójdźcie za mną”.

Oto prawda, której powinniśmy się nauczyć poprzez wiarę: oczekiwać Boga. Nie jest to mały wysiłek — gdy się go przyjmie za postawę duszy. To „oczekiwanie”, to wyrzeczenie się „obmyślania planów”, to „badanie nieba”, to „zachowywanie milczenia” jest najważniejszym zadaniem, jakie na nas ciąży.

Później nadejdzie również „godzina wezwania”; godzina, w której trzeba będzie głosić, w której ręka mdleć będzie od udzielania chrztu; będzie to godzina zniw. Lecz byłoby zaślepieniem myśleć w tej godzinie, że to my jesteśmy sprawcami tych cudów. A jeśli już będzie to cud, okaże się nim to, że Bóg posłużył się nami, tak nędznymi i tak marnymi współpracownikami.

Nie chcę iść aż tak daleko w swoich rozważaniach, gdyż zaczynam już odczuwać przygnębienie wynikające z pewnych pytań. Sam fakt stawiania sobie pytań tutaj jest błędem, albo też brakiem wiary.

„Modlić się czy działać? Oczekiwać czy ruszyć? Manifestować czy wejść do kościoła?”

I znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Tam, gdzie człowiek stawia wszystko pod znakiem zapytania, nie nasycając się nigdy, kieruje się raczej pragnieniem poznania niż wolą realizowania słowa Bożego.

Lecz dzisiaj nie wdaję się już w polemikę; nie chcę już dyskutować, nie wierzę już w możliwość przekonania człowieka za pomocą słów.

Milczę pod tymi gwiazdami Afryki i wolę wielbić mojego Boga i Pana.

Ulegając jednak waszej prośbie, wam młodym, którzy napisaliście do mnie aż tutaj, pragnę powiedzieć tylko jedno słowo, które wydaje mi się najbardziej odpowiednie, a przede wszystkim najbardziej pożądane. Zgadzaście się zapewne, że na świecie wszystko jest problematyczne oprócz jednej rzeczy: miłości. Tylko miłość nie jest problematyczna dla tego, kto ją przeżywa.

A więc mówię wam: przeżywajcie miłość, szukajcie miłości. Ona podpowie wam zawsze, co powinniście robić.

Miłość, którą jest Bóg w nas, ukaże wam drogę, którą należy przebyć; podpowie wam: „teraz uklęknij”, albo: „teraz ruszaj do pracy”.

To właśnie miłość nadaje wartość rzeczom, usprawiedliwia „bezużyteczność trwania godzinami na klęczkach, gdy tylu ludzi odczuwa potrzebę mojego działania, a także bezużyteczność mojego nędznego działania wobec przeświadczenia, że śmierć i tak zetrze wszystkie cywilizacje”.

To właśnie miłość nadaje rangę wartości intencjom ludzkim i jednoczy to, co jest podzielone.

Miłość jest syntezą kontemplacji i działania, punktem, w którym łączy się niebo z ziemią, człowiek z Bogiem.

Przytoczę jeszcze, po doświadczeniu najbardziej niepohamowanej aktywności i po zaznaniu radości życia kontemplacyjnego w olśniewającym krajobrazie pustyni, słowa św. Augustyna: „Kochaj i czyń, co chcesz”. Nie martw się, bracie, o to, co masz robić; troszcz się o to, byś potrafił kochać. Nie zrzucaj więcej nieba częstymi i niepotrzebnymi pytaniami: „Która droga jest moja?”; ucz się natomiast kochać.

Kochając, odnajdziesz własną drogę; kochając,

będziesz szedł za Głosem; kochając, odnajdziesz spokój.

Miłość jest właśnie udoskonaleniem Prawa i regułą każdego rodzaju życia, rozwiązaniem każdego problemu, bodźcem do świętości.

„Kochaj i czyn, co chcesz.”

Nie; kiedy kocham, nie mogę już robić tego, co chcę.

Kiedy kocham, muszę wypełniać wolę kochanego.

Kiedy kocham, jestem niewolnikiem miłości. A miłość jest straszna w swoich wymaganiach, zwłaszcza kiedy odnosi się ona do Boga i to do Boga Ukrzyżowanego. Nie mogę już postępować tak, jak chcę; muszę wypełniać wolę Jezusa, która jest wolą Ojca.

I kiedy nauczę się wypełniać tę wolę, urzeczywistnię w pełni swoje powołanie na ziemi i osiągnę swoją doskonałość.

Wola Boga: oto, co kieruje światem, co porusza gwiazdy, co nawraca narody, co powołuje do życia i co sprowadza śmierć.

Wola Boga natchnęła Abrahama — ojca wierzących, powołała Mojżesza, pokierowała Dawidem, przygotowała Maryję, wspomagała Józefa, sprawiła, że Chrystus stał się człowiekiem, i zażądała Jego ofiary, dała początek Kościołowi. Również wola Boga będzie prowadzić dalej, aż do skończenia czasów, dzieło odkupienia.

Ona wezwie narody, aby włączały się jeden po drugim w widzialne Ciało Kościoła, a gdy minie okres ich przynależności — gdy już osiągną swą dojrzałość, dzięki ich prawej intencji i „dobrej” woli — do jego Duszy niewidzialnej.

Choćbyś klęczał na piasku, oddając się pokucie, adoracji, choćbyś nauczał z ambony, cóż to jest warte, jeśli nie postępujesz zgodnie z wolą Boga?

I jeśli ta wola Boga przynagła cię do szukania ubogich albo do rozdawania twego majątku, albo do wyruszenia w dalekie kraje, jakież znaczenie ma cała reszta?

Albo kiedy cię wzywa do założenia rodziny, do podjęcia pracy zarobkowej w mieście, po cóż się wahać?

„W Jego woli jest nasz spokój” — mówi Dante; i jest to, być może, najbardziej treściwe oddanie całej naszej słodkiej zależności od Boga.

## OCZYSZCZENIE SERCA

Stworzeni jesteśmy po to, aby kochać; jest to prawda oczywista. Trudno jest jednak ustalić, co kochać i jak kochać.

Sądzę, że nie jest czymś błędnym i sprzecznym z naszym celem „kochać stworzenie”. A już z pewnością naszym celem jest „kochać Boga”. A więc powinniśmy kochać stworzenie i Stwórcę.

Dlaczego jednak w tradycji chrześcijańskiej te dwie miłości uznano za sprzeczne z sobą? Dlaczego przeciwstawiono jedną drugiej do tego stopnia, że kochając stworzenie nie można już było kochać Stwórcy?

Przyczyna tego tkwi w nas, w nas należy jej szukać.

To właśnie nasze serce nie jest już zdolne kochać, jest jakby popsutym mechanizmem, który nie działa sprawnie.

Serce, to nasze błogosławione serce, kiedy kocha stworzenie, zbyt łatwo traci równowagę.

Rzuca się na nie, pragnie uczynić je swoją własnością, swoją wyłączną własnością; co więcej, przywiązuje się do niego tak bardzo, że nic poza nim nie widzi. Zwykle zadręcza stworzenie nieodpowiednim stosunkiem do niego, rujnuje je, czyni je swoim niewolnikiem, a nawet staje się jego niewolnikiem.

Charakterystyczna w powyższym znaczeniu, ponieważ może być bardzo gwałtowna, jest miłość oparta wyłącznie na seksie, z tym całym strasznym splotem zazdrości i egoizmów.

Nie mniej charakterystyczna jest tak zwana „przyjaźń partykularna”, w której ludzkie serce przywiązuje się do tego stopnia do przyjaciela, że zatracą spokój, radość, trzeźwe spojrzenie na świat; jeszcze gorszym następstwem może być utrata czystości.

A co powiedzielibyśmy o miłości pieniądza? Co sądzić o tej niewoli, w której człowiek przenosi swoją miłość na bogactwo?

Nawet umiłowanie pracy może stać się niebezpieczne, zwłaszcza gdy przesłania inne wartości i cnoty! Ilu to wieśniaków nie jest już zdolnych do odpoczynku w niedzielę, gdyż są owładnięci pasją, która wprost szaleńczo wygania ich w pole!

A ilu to przemysłowców, pochłoniętych przez maszynę obowiązków, przekształca swoje życie w piekło!

Może być jeszcze gorzej: umiłowanie nauki może czynić z ludzi egoistycznych potworów, a żądza badań naukowych — szalonych i zaślepionych dziwaków o cechach termitów, poruszających się w swych ciemnych korytarzach.

Jasne, że taka miłość, takie umiłowanie stworzenia stoi w sprzeczności z miłością Boga.

Miłość do Boga jest ze swej natury czysta, powszechna, wyważona, święta.

Ten, którym ona zawładnęła, żyje w głębokim spokoju, w sposób właściwy i uporządkowany widzi i ocenia rzeczywistość, wie, co to znaczy wolność.

Jednakże tę miłość do Boga, ażeby mogła przeniknąć serce człowieka, trzeba urabiać, pielęgnować, plewić, użyźniać; sam Bóg wydatnie i stanowczo nad nią pracuje.

Nade wszystko musi ona być oczyszczona.

A co znaczy oczyścić miłość?

Znaczy to uwolnić ją z pęt zmysłowości, unie-



zależnić od chwilowego nastroju, innymi słowy, uczynić ją „bezinteresowną”.

Uczynić miłość bezinteresowną! Cóż to za trudne zadanie dla takich istot jak my, którzy, porażeni grzechem, skupiamy się na sobie samych, jakże często zamknięci we własnym egoizmie!

Często jednak nie zdajemy sobie sprawy z wielkości zła, które jest potworne.

Nie mówię jedynie o egoizmie bogacza, który gromadzi wszystko dla siebie; o człowieku, który poświęca wszystko dla własnego zadowolenia; o dyktatorze, który wdycha woń kadzidła należnego tylko Bogu.

Mówię o egoizmie ludzi prawych, dusz pobożnych, tych wszystkich, którzy, po ćwiczeniach duchowych i po wyrzeczeniach, potrafią wypowiedzieć przed ołtarzem Wszechmogącego słowa zięjące pychą: „Boże, nie jestem jak inni ludzie”.<sup>1</sup>

Tak, mieliśmy odwagę — w pewnych momentach naszego życia — uważać się za odmiennych od innych ludzi. I tu właśnie mamy do czynienia z największym kłamstwem, mającym swoje źródło w najniebezpieczniejszym egoizmie: egoizmie ducha. Na tym kłamstwie nasz egoizm buduje tę swoją potworność, umie posłużyć się nawet pobożnością, modlitwą, by tylko osiągnąć pełne zadowolenie.

Nawet przystąpienie do ołtarza może stać się chwilą, w której pragnienie świętości zostaje całkowicie wypaczone: to już nie jest miłość i naśladowanie Chrystusa Ukrzyżowanego, ale pragnienie chwały, nie miłość, lecz egoizm.

Nie waham się stwierdzić, że wysoki procent pragnień, skłaniających dusze do szukania Boga, bywa skażony egoizmem. Można się poświęcić Bo-

---

<sup>1</sup> Łk 18, 11.

gu z egoizmu, zostać zakonnikiem z egoizmu, budować szpitale z egoizmu, a nawet pokutować z egoizmu.

Takie zakłamanie nie zna granic. I tego rodzaju droga jest tak śliska i niebezpieczna, że Bóg, aby nas ratować, zmuszony jest nas karcić, a nawet, powiedziałbym, obchodzić się z nami okrutnie.

Ale nie ma innego sposobu, aby nam otworzyć oczy.

Jest to droga cierpienia. Duszy, która rzuca się ku niebu owładnięta egoizmem, Bóg zagradza drogę obojętnością, oschłością, ciemnościami. Duchowe pociechy zamieniają się w gorycz, radości w smutek, cierpienia jeżą się na każdym kroku, a chmury wydają się przesłaniać niebo po to, aby zatrzymywać modlitwy.

Ale często i tego nie dość. Ciosy, choroby, rozczarowania, starość rzucają się jak drapieżne ptaki na nędzny szkielet człowieka, który jakby dla przekonania samego siebie odważył się powiedzieć: „Boże, nie jestem jak inni ludzie”.

A przecież tak mało jest argumentów na podtrzymanie tego twierdzenia o swojej wyższości, odmienności od innych ludzi, bo każdy przecież krzyczy, płacze, lęka się, czuje swą słabość oraz to, że w istocie jest tak samo nikczemny jak inni ludzie.

Oto głos człowieka, który woła w Psalmie 88:

„Panie, mój Boże,  
za dnia wołam,  
nocą się żalę przed Tobą,  
Bo dusza moja jest nasycona nieszczęściami,  
a życie moje zbliża się do Otchłani.  
Zaliczają mnie do tych, co schodzą do grobu,  
stałem się podobny do męża bezsilnego.

Umieściłeś mnie w dole głębokim,  
w ciemnościach, w przepaści.  
Cięży nade mną Twoje oburzenie,  
Sprawiłeś, że wszystkie Twe fale mnie dosię-  
ły”.

Oto oczyszczenie miłości, ogień, który usuwa wszelką naleciałość, ażeby ukazać nas w całej prawdzie.

I sam Bóg, który jest Miłością, nie może tu inaczej postąpić. Właśnie dlatego, że jest Miłością, Jego ręka staje się jeszcze bardziej twarda.

Jeśli dusza nie potrafi wyzwolić się poprzez krzyż, to inaczej nie będzie mogła być wyzwolona.

Jest to bolesny zabieg chirurgiczny, którego dokonuje sam Ojciec na swoim dziecku, ale dokonuje go po to, aby je uratować. Jest przecież dogmatem wiary, że bez krzyża „non fit remissio”.<sup>2</sup>

Jest to tajemnica, ale tak to już jest. Cierpienie oczyszcza miłość. Czyni ją prawdziwą, autentyczną, czystą, a przede wszystkim usuwa to, co nie jest miłością.

Oddziela miłość od upodobania, które, jak maska, ją zniekształca i czyni miłość bezinteresowną.

Kiedy nawałnica cierpienia przejdzie przez duszę, wówczas to, co pozostanie w niej żywe, można uważać za autentyczne. Oczywiście nie pozostaje tego wiele. Często staje się to podobne do wątłego krzewu, na którym wszakże gołębica, znak Ducha Świętego, może spocząć, aby przekazać swoje dary. Może też wyrazić się w cichym „tak”, wyszeptanym wśród łez i udręczenia, na które odpowiada jak echo, wszechpotężne „tak” udręczo-

---

<sup>2</sup> „Nie ma przebaczenia.” (Przyp. tłum.).

nego Jezusa. Albo też staje się podobne do dziecka, które zaniechało utarczek z Bogiem i ludźmi, ale któremu przychodzi z otuchą pomocne ramię Ojca.

Po takich duchowych przeżyciach człowiek jest zdolny do miłości bezinteresownej; co więcej, nie może już znieść miłości innego rodzaju. Już na samą myśl o miłości zależnej od upodobania odczuwa obrzydzenie, ma wstręt do miłości z wyrachowania. Przenika wreszcie logikę Boga, która człowiekowi na tej ziemi wydaje się często tak nielogiczna.

Oto logika bardzo znanej przypowieści o bezinteresownej miłości.

Posłuchajmy jej:

„Królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy.

Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy.

Gdy wyszedł znów około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku beczynnie, i rzekł do nich: Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam. Oni poszli.

Wyszedszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił. Gdy wyszedł około godziny jedenastej, spotkał innych stojących i zapytał ich: Czemu tu stoicie cały dzień beczynnie?

Odpowiedzieli mu: Bo nas nikt nie najął.

Rzekł im: Idźcie i wy do winnicy.

A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: Zwołaj robotników i wypłać im należność, poczynawszy od ostatnich aż do pierwszych.

Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze.

Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty.

Na to odrzekł jednemu z nich: Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje, i odejź. Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie.

Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę?

Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?”<sup>3</sup>

Nam, którzy patrzymy „złym okiem”, nie jest łatwo zrozumieć tę przypowieść. Szczęśliwy, kto ją pojmie choćby na kilka dni przed śmiercią. Oznacza to, że patrzy wtedy dobrym okiem, a więc może wejść do Królestwa łaski, które jest królestwem prawdziwej miłości.

---

<sup>3</sup> Mt 20, 1 nn.

## NA DRODZE DO MODLITWY

Przybyłem na pustynię, aby się modlić, aby nauczyć się modlić.

Był to wielki dar otrzymany od Sahary, dar, który chciałbym przekazać wszystkim tym, których kocham, dar nieporównywalny z żadnym innym, zawierający w sobie wszystkie inne dary i będący warunkiem sine qua non naszego życia, skarbem ukrytym w roli, cenną perłą znaną przez kupca.

Modlitwa jest treścią naszych powiązań z Bogiem; to także odbicie nas samych.

Stopień naszej modlitwy jest wyrazem głębi naszej wiary; moc naszej nadziei jest mocą naszej modlitwy; żarliwość naszej miłości jest odbiciem żarliwości naszej modlitwy. Ani mniej, ani więcej.

Nasza modlitwa miała kiedyś swój początek, ponieważ i my mieliśmy swój początek, ale nie będzie miała końca i towarzyszyć nam będzie w wieczności; będzie przejawem naszej kontemplacji Boga w ekstazie i pieśnią naszego wiecznego szczęścia, kiedy będziemy „pojeni potokiem rozkoszy Boga”.<sup>1</sup>

Historia naszego życia na ziemi i w niebie zależy od rozwoju naszej modlitwy. Jest to jednak, i przede wszystkim, historia każdego człowieka z osobna.

Tak jak nie ma dwóch takich samych kwiatów,

---

<sup>1</sup> Ps 36, 9.

dwóch takich samych gwiazd, tak nie ma dwóch identycznych ludzi. Również i modlitwa, która jest odniesieniem do Boga i wyrazem powiązania człowieka z Nim, w przypadku każdego z nas bywa inna. Nie istnieją dwie podobne do siebie modlitwy.

Modlitwą może być jedno słowo, które wyrażane zawsze w różnoraki sposób, jest zawsze inne, choćby było nawet powtarzane w nieskończoność tymi samymi sylabami i tym samym brzmieniem głosu.

Duch Święty jest Tym, który nadaje różne formy modlitwie i który ją ożywia; a On nie powtarza się nigdy, tchnie zawsze świeżością.

Modlitwa św. Bernadetty Soubirous, umiejącej wymawiać tylko „Ave Maria”, czy mistyka, który potrafił jedynie powtarzać wiele razy słowo „Bóg”, jest bardziej zróżnicowana i osobista, niż można by to sobie było wyobrazić, a to dlatego, że pod osłoną tego jednego słowa wyraża się cały Duch Jezusa, który jest także Duchem Ojca.

Aby zrozumieć należycie modlitwę, trzeba koniecznie uświadomić sobie, że rozmawiamy z Bogiem.

Są tu jakby dwa bieguny; jeden bardzo mały i nędzny: moja dusza; drugi ogromny i wszechpotężny: Bóg!

I w tym tkwi pierwsza wielkość i pierwsza niespodzianka; że On, tak wielki, zechciał rozmawiać ze mną, tak małym; On, Stwórca, ze mną, stworzeniem.

To nie ja pragnąłem modlitwy; to On jej chciał. To nie ja Go szukałem; to On pierwszy mnie szukał. Nadaremne by było to moje poszukiwanie Jego, gdyby przed wszystkimi czasami On mnie nie zechciał szukać.

Nadzieja, na której opiera się moja modlitwa,

wiąże się z faktem, że to właśnie On pragnie mojej modlitwy. A jeżeli idę na spotkanie z Nim, to dlatego, że On już mnie oczekuje.

Jeśliby On pozostał w milczeniu i ukryciu, ja nie mógłbym przerwać mojego milczenia. Nikt przecież nie wdał się nigdy w dłuższą rozmowę ze ścianą, z drzewem, z gwiazdą. Jeśli nawet ją zaczął, to przerwał bardzo prędko, nie otrzymawszy odpowiedzi.

Z Bogiem rozmawiam przez całe życie; ale to ledwie początek rozmowy!

Mówiąc o modlitwie, należy zaznaczyć jeszcze jedno: nie pochodzi ona z ziemi, lecz z nieba.

Wołanie, które rozpiera mi pierś i które każe mi krzyczeć: „Boże, jak ja Cię Kocham”; wysięk, który każe ciągle powtarzać Faradziem, niewidomemu muzułmaninowi, kiedy przechodzi drogą nieopodal mnie: „Jakże wielki jest Bóg!”; płacz Dawida: „Miserere”; hymn dziękczynny Maryi: „Magnificat”; łza spływająca z oka tego, który się spowiada i woła: „Jezu, przebacz mi”; nagła zaduma naukowca nad cudami wszechświata — wszystko to są dzieła Ducha Świętego.

To właśnie Duch Święty napęłnia świat i każe nam wołać: „Ojcze!”; to właśnie On daje nam natchnienie do modlitwy.

Naszym zadaniem jest przygotować usta i uczulić serce, by zawiądnęło nim to boskie natchnienie. I powtarzać, wciąż powtarzać to, co Duch Jezusa nam podpowiedział, a przecież On także daje nam siłę do mówienia.

Oczywiście, że możemy się Mu oprzeć — tak samo jak miłości; możemy powiedzieć „nie”, możemy zagubić w czarnej czeluści naszej duszy to boskie natchnienie, możemy zamknąć usta, może-



my milczeć. I tak właśnie czynimy bardzo często, bo gdybyśmy byli posłuszni temu natchnieniu, modlibyśmy się nieustannie.

Dla ścisłości musimy dodać, że istnieje także inna modlitwa, powiedzielibyśmy, „nasza”, to znaczy zrodzona na ziemi, w sercu człowieka. Lecz licha to modlitwa; to raczej duchowe gadulstwo, prośba o rzeczy, które nie służą naszemu prawdziwemu dobru i które przyniosłyby nam szkodę, jeśli nam ich udzielono. Może przejawiać się także w potoku pobożnych słów, wypowiedzianych ze strachu przed samotnością czy cierpieniem — przed czym już Jezus nas przestrzegał: „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak pogaanie”.<sup>2</sup>

Gdybyśmy chcieli zdać sobie sprawę z wartości takiej modlitwy (którą można określić jako „nie natchnioną”) względem innej, prawdziwej, tej w której przemawia Duch Święty, to moglibyśmy powiedzieć, że jest między nimi taka sama różnica, jak między tym, co o Bogu powiedzieli nam filozofowie, a tym, co o Nim mówi nam Pismo święte i Kościół. Filozofowie, po zawiłych wywodach i nie kończących się sporach, zdołali zaledwie zgodzić się co do istnienia Boga. Kościół ma poznanie Boga pełne i żywe, gorące i wzbudzające miłość, aczkolwiek przesłonięte mrokiem wiary.

Zbyt dobrze znamy tę modlitwę czysto „ziemską” i nie warto się nią dłużej zajmować.

Ileż to razy odmawialiśmy ją, dalecy od Ducha Bożego! Ileż to razy uciekaliśmy się do niej właśnie po to, aby umknąć przed Duchem Bożym, przed Jego wolą!

Nieraz szliśmy do chóru odmawiać brewiarz,

---

<sup>2</sup> Mt 6, 7.

podczas gdy naszym obowiązkiem było udać się do rozmównicy, by przyjąć jakiegoś nudnego i cuchnącego biedaka; odmawialiśmy różaniec, ale szliśmy na spotkanie, stanowiące niebezpieczeństwo dla naszej duszy; zapalaliśmy świecę po to, aby wyprosić bogactwo; pochylaliśmy głowę w akcie adoracji, a nasze serce pełne było obłudnej miłości.

Ta modlitwa nie pochodzi z nieba, ale z ziemi. I na ziemi pozostaje, gdyż jest bezowocna i oszukańcza.

O niej to prorok powiedziałby: „Sprowadzę chmury, aby ją zatrzymać”.<sup>3</sup> Ale ja uważam, że chmury nie są tu wcale potrzebne, ponieważ ona nie potrafi się wznieść nawet na jedną piędź nad nasze ślepe duchowe wypaczenie.

Tak, to ślepe duchowe wypaczenie może trwać latami, a nawet dziesiątkami lat; kształtuje w nas faryzeuszowską obłudę, która doprowadza do tego, że w dzień jesteśmy przed ołtarzem, a w nocy z kochanką, że dusimy w skąpstwie pieniądze, ale do ręki bierzemy różaniec, że zaślepieni jesteśmy w swoim egoizmie, ale umysł mamy pełen pięknych idei dotyczących reformowania Kościoła.

O nie, łzy nie wystarczą, aby opłakiwać te nasze występki, to nasze fałszywe świadectwo dawane o Jezusie, Prawdzie i Miłości, to nasze ukrywanie przejmującej mocy Ewangelii za zasłoną dymną tej pobożności, która nie szuka i nie wypełnia woli Boga!

W rzeczywistości jednak wszystko to jest proste, niezwykle proste: wystarczy słuchać tego, co nam powiedział Jezus, wystarczy wziąć Ewangelię i wcielać w życie to, co On nam powiedział.

A zatem chodzi o nastawienie woli, a nie o słowa. Boskie natchnienie szuka w nas dobrej woli.

---

<sup>3</sup> Lm 3, 44.

Duch Jezusa zamieszkuje tam, gdzie się Go pragnie, ponieważ On jest Miłością; a prawdziwa miłość może istnieć tylko między dwiema osobami.

Kiedy ja pragnę Jego Miłości, On nie zwleka z przyjściem; co więcej, On już jest, ponieważ kocha mnie o wiele bardziej niż ja, nędzne stworzenie, mógłbym kochać Jego.

Miłość wyraża się w czynach tak, jak to widzimy u syna marnotrawnego: jego decyzja powrotu jest czynem, porzucenie wieprzy jest także czynem.

Trzeba, żeby dusza powiedziała szczerze: „Wróć do Ojca”.<sup>4</sup>

---

<sup>4</sup> Łk 15, 18.

## CHWILE I RODZAJE MODLITWY

Modlitwa jest przede wszystkim słowem, recytacją, pieśnią.

„Nakłoń swe ucho, wysłuchaj mnie, Panie,  
bo jestem mędry i ubogi.

Naucz mnie, Panie, Twojej drogi,  
bym postępował według Twojej prawdy;  
skłoń moje serce  
ku bojaźni Twego imienia.”<sup>1</sup>

Często modlitwa zawiera w sobie krzyk, płacz, jęk udręczenia:

„Panie, mój Boże,  
za dnia wołam,  
nocą się żalę przed Tobą.  
Niech dojdzie do Ciebie moja modlitwa,  
bo dusza moja jest nasycona nieszczęściami,  
a życie moje zbliża się do Otchłani.  
Zaliczają mnie do tych, co schodzą do grobu,  
stałem się podobny do męża bezsilnego.  
Chociaż żywy jestem jeszcze,  
moje posłanie jest między zmarłymi,  
tak jak zabitych, którzy leżą w grobie,  
o których już nie pamiętasz,  
którzy wypadli z Twojej ręki”.<sup>2</sup>

Czasami jest to wybuch radości:

---

<sup>1</sup> Ps 86 1, 11.

<sup>2</sup> Ps 88, 2 nn.

„Miłuję Cię, Panie, Mocy moja,  
Panie, ostoję moja i twierdzo, mój wybawicielu,  
Boże mój, skała moja, na którą się chronię...”<sup>3</sup>

Albo jest podziwem pełnym zachwytu nad dziełami Boga:

„Niebiosą głoszą chwałę Boga,  
dzieło rąk Jego nieboskłon obwieszcza”<sup>4</sup>

Może być gorącą pochwałą Jego Opatrzności:

„Pan jest moim pasterzem: nie brak mi niczego;  
pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.  
Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:  
orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach  
przez wzgląd na swoje imię.

Chociażbym chodził ciemną doliną,  
zła się nie ulękne,  
bo Ty jesteś ze mną”<sup>5</sup>

Ten sposób rozmowy z Bogiem jest zawsze taki sam, we wszystkich epokach, w każdym miejscu świata. Od początku życia duchowego aż do jego kresu człowiek posługuje się tym środkiem — słowem — ażeby wyrazić swoje uczucia do Stwórcy.

Ale i tutaj jest tak samo jak w miłości: na początku obfitość słów, później słowa stają się coraz rzadsze, ale głębsze, aż wreszcie ograniczają się tylko do kilku sylab, które jednak wyrażają wszystko.

Zwykle dusza mówi wiele w czasie swego nawrócenia, w okresie swojego „nowicjatu”, w pierw-

---

<sup>3</sup> Ps 18, 2 n.

<sup>4</sup> Ps 19, 2.

<sup>5</sup> Ps 23, 1 nn.

szych latach, kiedy odkrywa Boga. Jest to dla niej najłatwiejszy okres, choćby dlatego, że wszystko ułatwia tę modlitwę: nowość życia, uczucia, wyobraźnia, oczarowanie, zapal.

A Bóg ze swej strony często obdarza duszę pociechą. I wszystko toczy się tak, jak w pierwszym okresie szczęśliwego małżeństwa.

„Serce moje jest mocne, Boże,  
zaśpiewam i zagram.  
Zbudź się, chwało moja,  
zbudź, harfo i cytro!  
Chcę obudzić jutrzeńkę.  
Wśród ludów będę chwalił Cię, Panie,  
zagram Ci wśród narodów,  
bo Twoja łaskawość sięga aż do niebios,  
a wierność Twoja aż po chmury”.<sup>6</sup>

Innym rodzajem modlitwy jest „medytacja”. Niekiedy towarzyszy słowu — zwłaszcza kiedy dusza jest dojrzała — przeplata się z nim, zlewa się z nim. Niekiedy przychodzi później, wtedy towarzyszy jej dużo prawdy i światła.

Jest to czas lektury, czas, w którym chce się poznać i zgłębić to, co inni powiedzieli o Bogu; jest to czas żarliwej refleksji, studiów teologicznych; czas filozoficznych dyskusji, czas spotkania dusz, czas piękny, bardzo piękny.

Gdyby ludzie wiedzieli, jakiej radości doświadcza chrześcijanin w tym okresie, jaki spokój króluje w jego sercu i jaka równowaga panuje w jego władzach duchowych, to wprowadziłoby to ich w zdumienie i zachwyt.

Ja poznałem taki okres; i miałem szczęście prze-

---

<sup>6</sup> Ps 108, 2 nn.

żywać go z setkami, z tysiącami innych młodych ludzi. Bóg, Kościół, dusze były naszą jedyną pasją. Wydawało nam się przy każdym wschodzie jutrzeńki, że powinniśmy wykuwać nowy świat, walczyliśmy z nieprawdą jak Dawid z Goliatem. Tak wielu z nas chciało się modlić do Boga i rozmawiać z Nim.

Cóż znaczył trud bezsennych nocy, długie podróże pociągami w trzeciej klasie, męczące wypadki na rowerze do wiosek, by w nich pobudzać życie religijne, codzienne wyrzeczenia i rezygnacja z ferii, by odprawić raz w roku rekolekcje? To wszystko pozostaje pośród najdroższych mi wspomnień z mojego życia, wspomnień, do których powracam z radością i pogodnym spokojem.

Powróćmy jednak do medytacji. Istnieją tysiące sposobów uprawiania medytacji, i dobrze jest, gdy każdy doświadczy ich osobiście. Zorientuje się z czasem, jaki sposób jest dla niego najodpowiedniejszy. Pragnę tu tylko powiedzieć o dwóch rzeczach, których nauczyłem się od mojego wielkiego mistrza, św. Jana od Krzyża: o metodzie medytacji i o doborze odpowiedniej lektury.

### *O metodzie medytacji.*

Św. Jan wyróżniał w niej trzy punkty, ale właściwie nie ma tu nic nowego.

① Przedstawienie sobie w wyobraźni tajemnicy, nad którą pragnie się rozmyślać.

② Rozważanie w myślach przedstawionych sobie tajemnic (również tu nic nowego).

③ Pełne miłości ukojenie i otwarcie się na Boga — ono jest najważniejsze — kiedy to zbiera się wspaniałe owoce, dzięki poddaniu umysłu boskiemu oświeceniu.

Ten pełen miłości wysiłek, tak głęboko ludzki, powinien doprowadzić do radosnej pogody ducha, do błęgiego ukojenia przed Bogiem. A więc powinna to być medytacja, która zmierza do wprowadzenia wewnętrznego ładu i ciszy w serce człowieka.

### *O doborze odpowiedniej lektury.*

Przede wszystkim wybierzcie Pismo święte. Jeśli możecie, czytajcie również wszystkie książki, jakie chcecie, które ułatwiają wam medytację, ale nie jest to konieczne; natomiast jest rzeczą nieodzowną czytać i rozważać Pismo święte. Dość już tego katolicyzmu bez Biblii! Czas już skończyć z tym jałowym kaznodziejstwem, nie opartym na Piśmie świętym! Dość już tej formacji religijnej, która nie tryska z Ewangelii!

Pismo święte jest listem, który sam Bóg pisał do ludzi przez tysiące lat ich historii. Jest ono wzdychaniem do Chrystusa (Stary Testament) i opowiadaniem o Jego przyjsciu do nas (Nowy Testament).

Kiedy płonąła świątynia Jerozolimska, Żydzi, dobrze się znający na skarbach, pozostawili na pastwę płomieni wszystko, ale ocalili Pismo święte. Św. Paweł znał Biblię na pamięć; a św. Augustyn powiedział: „Nieznajomość Pisma świętego jest nieznajomością Chrystusa”.

Pismo święte jest Odwiecznym Słowem, które przybrało postać słowa ludzkiego, a Eucharystia jest Odwiecznym Słowem, które stało się ciałem. Nie waham się postawić ich obok siebie na ołtarzu i uklęknąć przed nimi.

Bogu dzięki, że dzisiaj nastąpiło ożywienie zainteresowań Pismem świętym; ale jesteśmy jeszcze bardzo daleko w tyle.



Dopiero co powiedziałem, że z modlitwą jest jak z miłością: słowa obfitują na początku, ożywione rozmowy prowadzi się tylko w pierwszym okresie. Potem następuje cisza i do porozumienia się wystarczają pojedyncze sylaby. Nawet w trudnościach wystarczający jest gest, spojrzenie, coś mało znaczącego: wystarczy sama miłość.

Jest to czas prostej modlitwy, czas, w którym dusza porozumiewa się z Bogiem szczerym i pełnym miłości spojrzeniem, choć często towarzyszy mu oschłość i udręczenie.

W tym okresie rozkwita tak zwana modlitwa litanijna: powtarzanie w nieskończoność tych samych wyrażen, ubogich w słowa, ale bogatych w treść.

Zdrowaś Maryjo... Zdrowaś Maryjo... Jezu, kocham Cię... Panie, zmiłuj się nade mną...

Jakież to zadziwiające, że w tej modlitwie litanijnej — monotonnej, prostej, dusza czuje się dobrze, jakby kołysana w ramionach Boga.

Jest to czas odmawiania różańca, który się przeżywa i tak bardzo kocha, ponieważ jest to jedna z najwznioślejszych i najbardziej natchnionych modlitw.

Gdy byłem jeszcze w Europie, często zdarzało mi się brać udział w ożywionych dyskusjach nad wartością różańca. Jednakże nigdy nie wychodziłem z nich w pełni przekonany. Nie byłem wówczas zdolny zrozumieć dogłębnie, na czym polega sposób odmawiania tej modlitwy.

„Jest to modlitwa myślna”, tłumaczył ktoś. W porządku! Mają więc słuszość ci młodzi ludzie, którzy uskarżają się na roztargnienia, jakie wprowadza do rozważania nad tajemnicami to bezużyteczne powtarzanie dziesięć razy „Zdrowaś Maryjo”. Zapowiedzcie więc tajemnicę różańcową i pozwólcie mi ją rozważać.

„Nie; to jest modlitwa pochwalna”, mówili inni; należy myśleć o tym, co się mówi, słowo po słowie.

Ależ to niemożliwe! Kto byłby zdolny odmawiać 50 razy „Zdrowaś Maryjo”, nie tracąc wątku, rozpraszany pięcioma przedstawieniami sobie tajemnic?

Muszę wyznać, że w moim życiu, pomimo licznych wysiłków, nie udało mi się nigdy odmówić nawet jednego różańca bez roztargnienia. A więc?

A więc dopiero na pustyni zrozumiałem, że ci, co dyskutują — w taki sposób, w jaki i ja dyskutowałem — na temat różańca, nie zrozumieli i nie pojęli jeszcze ducha tej modlitwy.

Różaniec jest tym rodzajem modlitwy, która nieco poprzedza modlitwę kontemplacyjną, albo jej towarzyszy. Rozważacie czy nie rozważacie, jesteście mniej czy bardziej roztargnieni, ale jeśli głęboko kochacie różaniec i nie możecie się obyć ani jednego dnia bez odmówienia go, oznacza to, że jesteście ludźmi modlitwy.

Różaniec jest jakby echem fali uderzającej o brzeg, o brzeg Boga: „Zdrowaś Maryjo... Zdrowaś Maryjo... Zdrowaś Maryjo...”

Jest jakby ręką Matki, która porusza waszą dziecięcą kołyskę; jest oznaką, że porzuciło się te wszystkie bezpłodne ludzkie wywody o modlitwie dla ostatecznego przyznania się do naszej nikłości i ubóstwa.

Różaniec, jako modlitwa, jest punktem dojścia, a nie punktem wyjścia. Dla Bernadetty ten punkt dojścia okazał się bardzo bliski, ponieważ jej przeznaczeniem było już na tej ziemi ujrzeć Maryję; ale zwykle jest to modlitwa duchowej dojrzałości. Jeśli młody człowiek nie lubi odmawiać różańca, jeśli powiada, że on go nudzi, nie nalegajcie. Dla niego

odpowiedniejsza będzie lektura jakiegoś tekstu biblijnego albo modlitwa wciągająca jego umysł. Ale gdy spotykacie dziecko w wiosce, pogodnego starca albo prostą kobietę, którzy wyjawiają wam, że kochają różaniec, nie umiając jednak wytłumaczyć dlaczego, cieszcie się wtedy i radujcie się, bo tymi sercami zawładnął Duch Święty, który w nich się modli. Różaniec jest modlitwą niezrozumiałą dla człowieka „trzeźwego umysłu”, podobnie jak niezrozumiałą jest dlań sens powtarzania Bogu, którego się nie widzi, po tysiącokroć dziennie: „Kocham Cię”; lecz jest to modlitwa nadzwyczaj zrozumiała dla ludzi czystego serca, tych, co należą „do Królestwa Bożego”; dla tych, co żyją Błogosławieństwami.

Ludzie Wschodu, dusze niezmiernie kontemplacyjne, stworzyli modlitwę litanijną, podobną do naszego różańca i nazywają ją „modlitwą do Jezusa”.

Polega ona na powolnym powtarzaniu, z duszą pełną spokoju, znanego „Kyrie eleison”:

„Panie, zmiłuj się nade mną:  
jestem człowiekiem grzesznym;  
Chryste, zmiłuj się nade mną:  
jestem człowiekiem grzesznym”.

Ta modlitwa litanijna jest wprost gimnastyką duchową, odpowiadającą ich mentalności; nadają jej rytm oddechem i wręcz biciem serca.

Wielkie wrażenie wywarła na mnie lektura niepokazanej książki, wydanej we Francji: „Le pèlerin russe”, a nieco później lektura innej książki, której autorem był mnich prawosławny z Opactwa Chevetogne: „Modlitwa do Jezusa”.<sup>7</sup>

Kiedy modlitwa jest uboga w słowa, ale za to bogata pod względem treści, wtedy rozmyślanie staje się męczące i pozbawione duchowej przyjemności.

To, co przedtem sprawiało przyjemność intelektualną, teraz staje się przyczyną oschłości i cierpienia.

Mamy wrażenie, iż życie wewnętrzne zatrzymało się; czasami się myśli, że zamiast posuwać się do przodu, cofamy się. Niebo zatracą swoje żywe kolory i szarość przepelnia wnętrze duszy. Zaczyna się wówczas pojmować, co znaczy „iść naprzód ożywiony jedynie czystą wiarą”. Szczęśliwy ten, kto w takiej chwili swojego duchowego rozwoju ma dobrego przewodnika i pozwala mu się z pokorą prowadzić.

Nie jest to łatwe, albowiem przeświadczenie, że się samemu potrafi wszystko dobrze robić, jest mocno zakorzenione w naszej duszy, i tylko ludzie ulegli i ci, którzy wielokrotnie byli nękani niepowodzeniami, umieją się zdobyć na zerwanie z tym.

Ale od czego zależy ta oschłość podczas rozmyślania, ta niechęć do dłuższego zatrzymywania naszej myśli na sprawach duchowych, rozważanych jedna po drugiej?

Może to być oczywiście nasza wina, może to zależy od niewłaściwego przywiązania naszego serca do jakiejś rzeczy, od braku skupienia, od chwastów, którym pozwoliliśmy zagłuszyć dobre zboże.

Nie zawsze trudności w rozmyślaniu są oznaką zbliżania się duszy do Boga, przejścia do bardziej wzniosłej modlitwy.

Jednak — dzięki Bogu — mogą być właśnie oznaką tego. Ale jak to rozpoznać dobrze?

---

<sup>7</sup> *La prière de Jésus*, Ed. Chevetogne.

I znów wielki św. Jan od Krzyża przychodzi nam tutaj z pomocą.

Są trzy znaki mówiące o przejściu od modlitwy słownej do modlitwy kontemplacyjnej:

1. Działanie wyobraźni nie wiąże się z przyjemnością; nawet staje się to niemożliwe.

2. Wyobraźnia a także zmysły nie zdradzają żadnych skłonności do rzeczy, w których miałyby upodobanie. Rzeczy stworzone nie przynoszą najmniejszej pociechy, nie ma się w niczym upodobania, nie ma się na nic ochoty.

3. Dusza znajduje upodobanie w pełnym miłości przywiązaniu do Boga, w wewnętrznym ukojeniu, ciszy i wytchnieniu, bez jakichkolwiek czynności i wysiłków ze strony władz duchowych.

Ten trzeci znak jest najważniejszy. I jeśli dusza przeżywa tego rodzaju stan wewnętrzny, usprawiedliwia to tamte dwie poprzednie oznaki. A zatem, kiedy mam trudności w rozważaniu spraw Bożych, kiedy nie udaje mi się już skupić na tej czy innej tajemnicy życia Jezusa, na tej czy innej prawdzie, ale jednocześnie mam pragnienie pozostawania sam i w ciszy u stóp Boga, nieruchomy, bez myśli, lecz w akcie miłości to oznacza... oznacza to coś bardzo wielkiego; i chcę wam o tym wszystkim spokojnie i po kolei opowiedzieć, albowiem jest to jedna z najpiękniejszych tajemnic życia duchowego.

## MODLITWA KONTEMPLACYJNA

I oto doszliśmy do najistotniejszych rozważań o modlitwie, do najwspanialszego objawienia, jakie sobie można wyobrazić, do najgłębszej tajemnicy Serca Bożego, do prawdziwego wymiaru naszego „chrześcijańskiego życia”.

Jezus w nocy, w której został zdradzony, powiedział:

„Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania, Ja zaś będę prosił Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami był na zawsze — Ducha Prawdy, którego świat przyjąć nie może, ponieważ Go nie widzi ani nie zna. Ale wy Go znacie, ponieważ u was przebywa i w was będzie”.<sup>1</sup>

Potem dodał:

„Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie”.<sup>2</sup>

I na koniec powiedział:

„Jeżeli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy w nim przebywać”.<sup>3</sup>

Człowiek otrzymał od Boga trzy dary: Jego Ducha, Jego Obecność, Jego Objawienie. I te trzy dary dał nam Bóg pod jednym warunkiem: „Jeżeli Mnie kto miłuje”.

---

<sup>1</sup> J 14, 15 nn.

<sup>2</sup> J 14, 21.

<sup>3</sup> J 14, 23.

Dusza człowieka, który miłuje Boga, staje się „rajem na ziemi”, zamieszkuje w niej Trójca Przenajświętsza, objawia się w niej moc działania Ducha Świętego i napełnia ją najwyższa wola Boga, który chce się „objawić, chce się dać poznać człowiekowi”.

Te trzy rzeczywistości, które Chrystus wysłużył dla nas własną Krwią i które stały się naszą własnością po zesłaniu Ducha Świętego, nadają naszej duszy taką wielkość, że przechodzi to najśmielsze ludzkie wyobrażenia.

Oczywiście, i przede wszystkim, to wszystko nadaje wartość naszej modlitwie, która jest naturalnym sposobem porozumiewania się między stworzeniem i Stwórcą i obdarza ją czymś nieskończonym, a nawet czymś boskim.

Zajmijmy się przede wszystkim tą „obecnością”:

„Przyjdziemy do niego, i będziemy w nim przebywać”.

To Trójca Przenajświętsza staje się Gościem duszy; to Ziemia staje się Niebem.

Po co szukać Boga gdzieś ponad gwiazdami, skoro On jest tak blisko, co więcej, w nas samych?

Niebo, to „tajemnicze” miejsce, nie jest już wcale w odległości astronomicznej, dzielącej nas od niego, nie znajduje się gdzieś w mglistym wszechświecie, ale jest rzeczywistością bardzo nam bliską, intymną, jakby w zasięgu ręki, tak że każde miejsce staje się właściwe do rozmowy z Bogiem, do przebywania z Nim, do wielbienia Go.

A jaką rolę spełnia w nas Duch Święty?

On jest wspaniałym i doskonałym Twórcą na-

szej jedności z Bogiem. To właśnie On nas wszczepia w Jezusa Chrystusa, to On nas uczy, co powinniśmy mówić do Ojca, to On tchnie w nas „nowego” ducha, gdyż nasz „stary” duch okazał się niezdolny i zły, to On „przyczynia się za nami w błaganiach” do Boga i nadaje trwałą wartość naszemu słabowitemu wysiłkowi wznoszenia się do Boga.

Po cóż jeszcze pytać: „Kto nauczy mnie modlić się?”, skoro mam tak wspaniałego Nauczyciela w głębi mojej duszy? Dlaczego mam wątpić w potęgę mojej modlitwy, jeżeli ona — chociaż tak marna i nieskładna — jest podtrzymywana w swoim locie przez samego Ducha Świętego, Stwórcę wszechświata?

Nie; nie będę już szukał siebie samego w modlitwie, nie będę oglądał się na moje nędzne „ja”, ponieważ w swojej wierze odkryłem, iż Duch Boży został rozlany w moim sercu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Obietnica Jezusa mówi o jego obecności, o działaniu Jego Ducha, a nade wszystko mówi jeszcze o „objawieniu”:

„Objawię wam siebie”.

Objawienie się jednej osoby drugiej jest wyrazem miłości i nie powinno mieć nigdy swojego kresu, nawet w miłości ludzkiej, gdyż zawsze pozostaje jeszcze coś „tajemniczego”, co można odkryć i zgłębić w ukochanej osobie.

A skoro tą Osobą jest Bóg, „wszystko” jest w Nim do odkrycia! Jednak, gdy chodzi o Boga, trzeba dać nieco dokładniejsze wyjaśnienie.

Człowiek nie jest w stanie poznać w pełni Boga. Wszystko, co wiemy o Bogu, nie jest Nim: jest tylko Jego wyobrażeniem, symbolem, niedoskonałą Jego podobizną; ale to nie jest Bóg. Jedynie sam



Bóg zna siebie i ta Jego znajomość siebie samego pozostaje dla nas „tajemnicą”.

Jednakże Bóg w swojej miłości postanowił dać się poznać człowiekowi, objawić się mu; odbywa się to w sposób nadprzyrodzony, w języku nieprzetłumaczalnym na ziemi. Ten, kto jest pod działaniem tego „objawienia”, nie może o nim powiedzieć prawie nic: sam go doświadcza w sposób nadprzyrodzony, ale nie może go oddać, nie potrafi o nim opowiedzieć.

Powinien o tym koniecznie wiedzieć ten, kto pragnie nauczyć się modlić.

Ja straciłem na to zbyt wiele czasu, ponieważ późno poznałem tę prawdę. A przecież wyraźnie mówi o niej Ewangelia.

Byłem przekonany, że w modlitwie wszystko zależy ode mnie, od mojego wysiłku, od wartości modlitewników, które trzymałem w rękach, od piękna słów, których używałem w mojej rozmowie z Bogiem.

Co gorsza jeszcze: sądziłem, że znajomość Boga, którą starałem się pogłębiać przez studia i osobistą refleksję, jest jedyna i prawdziwa, a nie zdawałem sobie sprawy z tego, że było to tylko wyobrażenie, namiastka, wprowadzenie do prawdziwego, nadprzyrodzonego, przebogatego i wiecznego objawienia Bożego.

Bóg jest Niepoznawalny. Jedynie On, sobie tylko znanymi środkami, może objawić mi siebie — poprzez słowa nigdy dotąd nie wypowiedziane, poprzez pojęcia, które wykraczają swoją treścią poza nasze ludzkie pojęcia.

Toteż w prawdziwej modlitwie bardziej żąda się ode mnie postawy biernej niż czynnej, bardziej milczenia niż słów, wielbienia niż dociekania, uległości niż własnej inicjatywy, bardziej wiary niż rozumowania.

Powiniennem zrozumieć dogłębnie, że autentyczna modlitwa jest owocem daru Nieba dla ziemi, Ojca dla swego syna, Oblubieńca dla oblubienicy, Tego, który ma, dla tego, który nie ma, Wszystkiego dla niczego.

I w miarę jak to Wszystko przybliża się do tego, co jest niczym, ta niewiedza staje się jeszcze bardziej bezgraniczna.

Dobrym przykładem jest tu prośba, którą mogliście skierować do człowieka schodzącego z góry, po długiej rozmowie z Bogiem:

„Opowiedz nam o Nim”!

A on by wam powtórzył to, co powiedziała Angela z Foligno, wielka mistyczka:

„Duszę [trwającą przed Bogiem] otaczają Jego ciemności. Spowita w nie, lepiej Go poznaje niż kiedykolwiek mogłam to sobie wyobrazić; a dokonuje się to z taką jasnością, z taką pewnością i w sposób tak dogłębny, że nie ma takiego serca, które byłoby w stanie jakoś to zrozumieć czy nawet wyobrazić to sobie.

Dusza nie może zupełnie nic powiedzieć, ponieważ nie ma takiego słowa, którym by mogła to wszystko wyrazić i opisać. Co więcej, nie ma takiej myśli ani umysłu, które mogłyby to ogarnąć, tak bowiem dalece znajduje się to ponad wszystkim; tak jest z Bogiem, którego natury nie da się wytłumaczyć, uciekając się do jakichkolwiek porównań.

Kiedy przyszedłam do siebie, wówczas doskonale pojęłam, że ci, którzy bardziej doświadczyli Boga, mniej mogą o Nim powiedzieć. A dzieje się tak właśnie dlatego, że pojmując nieco z tego nieskończonego i niewypowiedzianego bogactwa, mniej mogą o tym mówić.

Niebu się podoba, że ty, kiedy mówisz o Bogu, zdajesz sobie z tego sprawę, iż nie będziesz mógł inaczej mówić o Nim. Tak, wówczas przynajmniej jeden człowiek mówiłby niewiele. A ja, gdybym wtedy podeszła do ciebie i poprosiła cię: — Bracie, powiedz mi teraz coś o Bogu — ty nie potrafiłbyś nic powiedzieć ani pomyśleć o Nim, tak bardzo bowiem przerastałoby ciebie to nieskończone bogactwo.

Jednak dusza nie traci świadomości ani też ciało nie traci jej w żadnym ze swoich zmysłów. Przeciwnie, panuje w nas pełna świadomość.

Wtedy powiedziałałbyś ludziom z całym przekonaniem: — Idźcie z błogosławieństwem Bożym, gdyż ja nie potrafię wam zbyt wiele powiedzieć.

I zrozumiałam dobrze, że wszystko to, co zostało powiedziane w Piśmie świętym i przez wszystkich ludzi od początku świata aż po dziś dzień, nie jest zdolne ani troszeczkę powiedzieć o Bogu nawet takiej odrobiny, jaką jest pyłek kurzu w porównaniu z wielkością wszechświata”.<sup>4</sup>

Tak jest z Angełą z Foligno; tak jest ze wszystkimi ludźmi. Można zauważyć, że znajomość Boga staje się w nas tym głębsza, im bardziej wzrasta nasza miłość do Niego; i o tej znajomości nie możemy właściwie nic powiedzieć. Wiemy, że ta znajomość Jego jest zachwycająca, tajemnicza, bardzo osobista, nieuchwytna; ale nie potrafimy już nic więcej ponad to powiedzieć:

„Objawię wam siebie”.

<sup>4</sup> *Le livre de la bienheureuse Angèle de Foligno*, Paris, s. 173.

To objawienie siebie samego, które Bóg daje człowiekowi, jest duszą, owocem, oddechem modlitwy zwanej „kontemplacyjną”, jest autentycznym wprowadzeniem do życia wiecznego. A definicję tego życia dał sam Jezus: „A to jest życie wieczne: aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga, oraz Tego, którego posłałeś, Jezusa Chrystusa”.<sup>5</sup>

„Panie, moje serce się nie pyszni  
i oczy moje nie są wyniosłe.  
Nie gonię za tym, co wielkie,  
albo co przerasta moje siły.  
Przeciwnie: wprowadziłem ład i spokój  
do mojej duszy.  
Jak niemowlę u swej matki,  
jak niemowlę — tak we mnie jest moja dusza.”<sup>6</sup>

To jest psalm modlitwy kontemplacyjnej. Człowiek, w drodze do źródła swego istnienia, do swego celu, do swojego Stwórcy, po wzniesieniu się na pierwsze stopnie modlitwy, po oczyszczeniu jej w cierpieniu i oschłości z ludzkiego upodobania i egocentryzmu, znajduje się jakby na progu niekończoności; tam, gdzie jego siły na nic mu się nie przydadzą, gdzie nawet samo rozmyślanie staje się niemożliwe, a słowa, niegdyś tak obfite, ograniczają się teraz do kilku zaledwie westchnień wyrażających miłość lub skargę.

Żaden inny obraz nie oddaje tego dokładniej niż obraz dziecka na łonie swojej matki. Także Jezus nam mówi: „Jeśli nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego”.<sup>7</sup>

Dusza uświadomiła sobie wreszcie swoją małość

---

<sup>5</sup> J 17, 3.

<sup>6</sup> Ps 131, 1 n.

<sup>7</sup> Mt 18, 3.

i rozumiała, że powinna wszystko przyjmować i że jedyne, co może, to kochać.

Nie, jest jeszcze zdolna do czegoś innego: może poznawać. Ale... na cóż jej się to może przydać w takich momentach?

Anonimowy autor w swojej książce o modlitwie „Chmury niewiedzy”<sup>8</sup> pisze: „Każde rozumne stworzenie, aniola czy człowieka, cechują dwie główne zdolności: pierwsza — to zdolność poznawania, druga — kochania.

Bóg jest Stwórcą obu tych zdolności i aczkolwiek pozostaje On zawsze nieosiągalny dla tej pierwszej, to jednak jest w zasięgu tej drugiej, chociaż dla każdego człowieka w innym stopniu.

Tak więc tylko dusza, która kocha, może dzięki swojej miłości, osiągnąć Tego, który potrafi w pełni nasycić wszystkie dusze i wszystkich aniołów, jakich stworzył.

Jest to coś nieskończenie wspaniałego, jest to cud miłości. Jej trwanie nigdy nie zostanie przerwane, bo Bóg będzie ją ustawicznie odświeżał.

A dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że Boga można miłować, ale nie sposób ogarnąć Go rozumem: miłość jest zdolna osiągnąć i ogarnąć Go; myśl nie... nigdy!”<sup>9</sup>

Może się to wydać dziwne na pierwszy rzut oka. Nic jednak nie daje lepszego wyobrażenia o wielkości Boga, o jego sprawiedliwości niż ta prawda. Jakżeż niedoskonały byłby Bóg, gdyby można Go było ogarnąć rozumem!

W takim wypadku zadanie byłoby zbyt ułatwione dla mędrców i geniuszy tego świata, a stałoby się nieosiągalne dla ludzi prostych, ubogich,

---

<sup>8</sup> *Le nuage de l'inconnissance*, Club du Livre religieux.

<sup>9</sup> Tamże, s. 25 nn.

niewykształconych. Tak jednak nie jest. Bóg znalazł sposób, żeby być jednakowo dostępnym dla wszystkich: Jego objawienie staje się naszym udziałem dzięki naszej miłości.

Dzięki tej właśnie zdolności, właściwej wszystkim ludziom, kocha tak samo królowa jak wieśniaczka, kocha tak samo człowiek wykształcony jak i człowiek prosty. „Wysławiam Cię, Ojcze, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom”.<sup>10</sup>

„Trwajcie w mojej miłości.”

Co się więc dzieje z naszymi pojęciami? Nie są one przekreślone, gdyż to byłoby sprzeczne z naturą naszego rozumu. One trwają dalej. Lecz te wszystkie pojęcia milczą, śpią jak apostołowie w Ogrodzie Oliwnym.

Oto, co się właśnie nazywa kontemplacją wlaną lub poznaniem mistycznym.

Ona upaja się milczeniem.

Nie ucieka się do żadnych pojęć, jako do właściwego środka poznania.

Ona zdaje się przeczyć wszystkiemu, co wiemy o Bogu, gdyż ma nowe i absolutne Jego poznanie.

Beginka Hadewijk mówi: „Ta jedyna i rzeczywista prawda nie mieści się w żadnym umyśle, ona wprost zawiesza mnie w próżni, przysposabia mnie do tego prostego życia w wieczności. Tu milkną wszystkie wywody. Kto nie zrozumiał, czym jest Słowo Boże, na próżno usiłowałby wytłumaczyć to, co ja odnalazłam bez uciekania się do jakiegokolwiek środka, co nie jest osłonięte dla mnie tajemnicą, i co przechodzi wszelkie wyobrażenie”.<sup>11</sup>

---

<sup>10</sup> Mt 11, 25.

<sup>11</sup> *Poèmes spirituels*, „Nova et Vetera” 1938, nr 4, ss. 362, 367.

Choćbym nawet chciał się czegoś dowiedzieć, nie dowiem się, gdyż jestem ciągle niewolnikiem bezdennej niewiedzy. Ten, kto sądzi, że uda mu się wyjaśnić istotę rzeczy, zdradza tylko swoje niedoświadczenie.

Boże mój, kto mógłby się tego spodziewać... Jeśli niegdyś mieliśmy „coś”, to teraz miłość uświadomiła nam, że nic nie mamy.

Tak, miłość pozbawiła nas wszystkiego. Sprawiała, że przestaliśmy się pysznić naszą wiedzą, naszym człowieczym istnieniem; zawróciła nas do prawdziwego dzieciństwa duchowego.

„Wprowadziłem ład i spokój  
do mojej duszy,  
jak dziecko  
na łonie swojej matki.”<sup>12</sup>

Oto najwyższe stadium modlitwy: być dzieckiem w ramionach Boga: milczeć, kochać, rozkoszować się.

A jeśli to błogosławione pragnienie powiedzenia czegoś, dokonania czegoś, otwiera ci wprost usta, to zrób tak: dobierz jakieś słowo, jakieś krótkie zdanie, które dobrze wyraziłoby twoją miłość do Niego; a potem, nie starając się wcale o formułowanie myśli i trwając w bezruchu, powtarzaj je spokojnie, ty, który jesteś małym kochającym ziarnkiem przed Bogiem Miłością.

I posługując się tym słowem czy zdaniem, które stało się jakby grotem stalowym, symbolem twojej miłości, uderzaj, uderzaj w gęstą chmurę niewiedzy o Bogu.

Nie rozpraszaaj się, cokolwiek by się działo. Odpędzaj od siebie nawet dobre myśli; na nic się one nie przydadzą.

---

<sup>12</sup> Ps 131, 2.

Najwyższy stopień kontemplacji, jaki w tym życiu można osiągnąć, wiąże się z tą ciemnością i chmurą niewiedzy, z porywem miłości i bezgraniczną uległością, które zespalają nas całkowicie z Bogiem i pozwalają nam przeniknąć w Niego.

Bezgraniczny poryw miłości, który wznosi się do Boga, ujętego w Jego naturze, i który to poryw rozwiewa dyskretnie tę chmurę niewiedzy, jest bardziej owocny dla twojej duszy i bardziej wzniosły niż jakiegokolwiek inne działanie.

To naprawdę podoba się Bogu, świętym i aniołom w niebie; i jest naprawdę zbawienne dla wszystkich tych, których darzysz duchową i prawdziwą przyjaźnią, żywych czy umarłych.<sup>13</sup>

To bracie, jest moim życzeniem dla ciebie, jest streszczeniem wszystkich darów, jakie otrzymałem od pustyni.<sup>14</sup>

---

<sup>13</sup> *Le nuage de l'inconnaissance*, s. 38 nn.

<sup>14</sup> Nie dziw się, przyjacielu, że mówiąc o etapach modlitwy, nic nie wspomniałem o modlitwie liturgicznej! Nie było to przeoczenie! Nie mam nic do dodania do tego, co zostało powiedziane podczas Świętej Nocy we wrześniu 1943 roku, kiedy to 300 tysięcy młodych ludzi żywo uczestniczyło w tamtej Mszy świętej, która była jedną z najbardziej wspaniałych i niezapomnianych manifestacji liturgicznych naszej epoki. Chciałem natomiast ukazać drogę tej „osobistej” modlitwy, niezbyt jeszcze docenianej w Europie, zwłaszcza jeśli chodzi o jej ostatnie etapy. Jest to droga, która powinna doprowadzić duszę do „stanu modlitwy”, tak cennego i podstawowego dla naszego życia.



## KONTEMPLACJA W GWARZE ULICY

Wyczuwam już, przyjacielu, że zaczyna dręczyć cię pytanie, któremu towarzyszy twój nieco smutny uśmiech:

„A więc: czy wszyscy mamy udać się na pustynię? Jaką wartość ma nasze działanie, obowiązki wśród ludzi, ta nasza rola zacyonu, który przerabia to ziemskie życie? Czy jest to możliwe? Pustynia jest daleko; nigdy nie będę mógł...”

Zdawałem sobie sprawę, że nasunie ci się takie pytanie i dlatego koniecznie musimy sobie otwarcie powiedzieć o pewnych sprawach; z tego bowiem powodu wdarł się do twojej duszy niepokój, którego ja stałem się mimowolnym powodem.

Karol de Foucauld tak się kiedyś wyraził: „Jeśli życie kontemplacyjne było możliwe jedynie za murami klasztoru albo w ciszy pustyni, powinniśmy, prawdę mówiąc, udostępnić mały klasztor każdej matce, a ten luksus skrawka pustyni każdemu ubogiemu robotnikowi, który zmuszony jest ciężko pracować w hałasie fabrycznym, aby zarobić na chleb”.

Czyż nie jest tak?

I ten obraz rzeczywistości, w jakiej żyje olbrzymia część ludzi, zapoczątkował kryzys jego życia wewnętrznego, kryzys, z powodu którego odbiegł tak daleko od swojej pierwotnej koncepcji życia zakonnego.

Karol de Foucauld, jak wiecie, był trapistą i wybrał dla siebie najbardziej ubogi klasztor

trapistów, jaki istnieje, a mianowicie klasztor w Akbes, w Syrii.

Pewnego dnia polecił mu przełożony, aby czuwał przy zmarłym, niedaleko klasztoru. Zmarłym był Arab, chrześcijanin. Kiedy brat Karol znalazł się w lepiance, gdzie leżał umarły, i ujrzał wokół nieboszczyka prawdziwą nędzę, te wygłodniałe dzieci i tę bezbronną wdowę, bezsilną i bez jakiegokolwiek pewności, czy będzie mieć nazajutrz chleb dla swoich dzieci — popadł w ten kryzys duchowy, który zmusił go do opuszczenia klasztoru trapistów w poszukiwaniu innego stylu życia zakonnego, tak bardzo odmiennego od poprzedniego.

„My, którzy zapragnęliśmy naśladować Jezusa i to Jezusa ukrzyżowanego, jesteśmy tak bardzo dalecy od tych codziennych doświadczeń, cierpień, niepewności i nędzy, na które są skazani ci ludzie.

Nie chcę już klasztoru zbyt wielkiego; pragnę klasztoru małego, jak domek ubogiego robotnika, który nie ma nigdy pewności, czy jutro znajdzie pracę i chleb i który całym swoim życiem aktywnie uczestniczy w cierpieniach świata.

Och, Jezu, pragnę klasztoru takiego, jak twój domek w Nazarecie, abym mógł się upokorzyć i ukryć się w nim, jak to uczyniłeś Ty, kiedy przyszedłeś pomiędzy nas.”<sup>1</sup>

Po opuszczeniu klasztoru trapistów, założy swoją pierwszą wspólnotę braci w Beni-Abbes na Saharze, a później w Tamanrasset, gdzie zostanie zamordowany przez Tuaregów.

Ta „wspólnota braci” atmosferą swojego życia miała przypominać domek w Nazarecie, a więc

---

<sup>1</sup> Charles de Foucauld, *Écrits spirituels*.

jeden z licznych domów, które spotykasz przy drogach świata.

Czy jednak wówczas wyrzekł się kontemplacji? Czy może wtedy ostygł w nim ten jego gorący duch modlitwy? Nie; Karol de Foucauld uczynił krok do przodu: postanowił uprawiać życie kontemplacyjne w gwarze ulicy, żyjąc tak samo jak wszyscy ludzie.

To jest o wiele bardziej trudne!

Bóg pragnie, żeby wszyscy ludzie uczynili również ten krok.

Dlatego też Karol de Foucauld jest zwiastunem nowej epoki, w której wielu ludzi będzie usiłowało pogodzić kontemplację ze swoją działalnością zewnętrzną, urzeczywistniając w codzienności życia pierwsze przykazanie Pana: „Miłuj Boga nade wszystko, a bliźniego swego jak siebie samego”.

„Kontemplacja w gwarze ulicy”: oto jutrzejsze zadanie dla małych braci, dla wszystkich ubogich.

Zacznijmy od przeanalizowania elementu, jakim jest „pustynia”, która powinna być obecna, zwłaszcza dzisiaj, w urzeczywistnianiu tak trudnego zadania.

Kiedy się mówi o znaczeniu pustyni dla człowieka, kiedy się podkreśla, że pustynia powinna być obecna w twoim życiu, nie powinienes przez to określenie rozumieć, że jedynym wyjściem dla ciebie jest udać się na Saharę albo na pustynię Judei, czy też na pustynię nad Nilem.

Jest rzeczą oczywistą, że nie wszyscy mogą się zdobyć na taki luksus i praktycznie oderwać się od normalnego życia. Jeśli Pan zawiódł mnie na pustynię, to ze względu na moją gruboskórność.

Dla mnie było to bardzo konieczne; i nawet nie starczyłoby piasku, żeby zeskrobać ten brud z mojej duszy, tak jak to miało miejsce z garnkiem proroka Ezechiela.

Jednak nie dla wszystkich przeznaczona jest ta sama droga. I jeżeli nie będziesz mógł udać się na pustynię, to jednak powinienes „utworzyć pustynię” w twoim życiu.

To tworzenie skrawka pustyni, to odchodzenie co jakiś czas od ludzi, to poszukiwanie samotności, żeby w ciszy i dłuższej modlitwie odświeżyć wnętrze duszy — jest niezbędne i ono właśnie oznacza „pustynię” w twoim życiu duchowym.

Na godzinę w ciągu dnia, na dzień w miesiącu, na osiem dni w roku, albo nawet na dłuższy okres, jeśli to konieczne, powinienes zostawić wszystko i wszystkich i pozostać sam na sam z Bogiem. Jeśli nie dążysz do tego, jeśli tego nie lubisz, nie łudź się; nie dojdiesz do modlitwy kontemplacyjnej; albowiem gdy człowiek nie chce — chociaż do tego jest zdolny — odizolować się od świata, by rozkoszować się obcowaniem z Bogiem, jest to znak, że brakuje mu najbardziej podstawowego elementu, tak niezbędnego do kontaktu z Wszechmogącym: miłości. A bez miłości objawienie jest zupełnie niemożliwe.

Pustynia nie jest jednak miejscem docelowym: to tylko etap. Naszym powołaniem bowiem, jak ci już powiedziałem, jest kontemplacja w gwarze ulicy. Po tym pobycie na „pustyni”, powinniśmy zawsze na nowo powracać do zgiełku ulicy.

Mnie ten powrót zawsze tak wiele kosztuje. Pragnienie, żeby pozostać tu, na Saharze, już na zawsze, jest we mnie tak silne, że już teraz odczuwam ból na myśl, że pewnego dnia powie mi przełożony, co na pewno się zdarzy: „Bracie Ka-

rolu, udaj się do Marsylii, jedź do Maroka, popłyn do Wenezueli, leć do Detroit...”

Musisz powrócić między ludzi, musisz mieszać się z nimi, musisz przeżywać swoje zjednoczenie z Bogiem w zgiełku miasta. To będzie trudniejsze; lecz musisz to uczynić. Ale nie zabraknie ci łaski Bożej do prowadzenia tego stylu życia.

Każdego ranka, po Mszy świętej i rozmyślaniu, udasz się do pracy w warsztacie, na budowie. Wieczorem, kiedy powrócisz, zmęczony jak wszyscy inni ludzie, którzy muszą ciężko pracować na swój chleb, wstąpisz do kaplicy wspólnoty braterskiej i spędzisz w niej długie chwile na adoracji; przyprowadzisz ze sobą na modlitwę ten świat udręczenia, ciemności i często tak grzeszny, pośród którego przebywałeś przez osiem godzin, doświadczając samemu męki i trudów codziennego życia.

Kontemplacja w gwarze ulicy: brzmi to wprawdzie jak piękne sformułowanie, ale kosztuje tak wiele wysiłku. Oczywiście, łatwiej i wygodniej byłoby pozostawać tu, na pustyni; jednak wydaje się, że Bóg tego nie chce.

Głos samego Kościoła rozbrzmiewa dzisiaj coraz donioślej i pragnie uświadomić chrześcijanom rzeczywistość Ciała Mistycznego Chrystusa, wezwać ich do apostołstwa, zachęcić do świadczenia prawdziwej miłości, powołać wszystkich do czynnego działania, żeby wychodząc z kontemplacji, powracali do niej po daniu świadectwa i po pewnym okresie przebywania wśród zgiełku świata.

Dzisiaj nawet mury klasztorne stają się coraz to cieńsze i niższe; coraz więcej jest tych, którzy podejmują życie z Bogiem w świecie; nawet ludzie świeccy coraz bardziej zaczynają uświadamiać sobie swoje posłannictwo i poszukują dla siebie własnej duchowości.

Jest to doprawdy początek nowego świata; nie będzie wcale przesadą, gdy mu damy za hasło: „kontemplacja w gwarze ulicy” i zaczniemy ukazywać przykłady jej urzeczywistniania.

Nie chciałbym jednak zakończyć tego listu bez dopowiedzenia kilku słów na temat jeszcze jednego, bardzo ważnego elementu, tak niezbędnego dla życia kontemplacyjnego, zwłaszcza gdy prowadzi się je w zgiełku świata: ubóstwa!

Jest ono niezwykle ważne, zwłaszcza dzisiaj.

Przez ubóstwo nie należy rozumieć tego, czy się ma pieniądze, czy się ich nie ma, albo czy się jest zawszonym, czy też nie. Ubóstwa nie można sprowadzać jedynie do czegoś materialnego; jest ono błogosławieństwem: „Błogosławieni ubodzy w duchu”. Jest ono sposobem życia, myślenia, kochania; jest ono darem Ducha Świętego.

Ubóstwo to oderwanie się od wszystkiego, wolność, a przede wszystkim prawda.

Wejdźcie do zamożnych domów, nawet chrześcijańskich, a przekonacie się o braku w nich tego błogosławieństwa, jakim jest ubóstwo. Meble, różne przedmioty, wszystko to jest wprost prze-myślnie dobrane we wszystkich domach; wszystko to jest narzucone przez modę, zbytek, a nie przez potrzebę i użyteczność. W jakimś domu był stół, solidny, wygodny, związany z wieloma wspomnieniami. Ale cóż? Trzeba go było usunąć do piwnicy i zastąpić bez wyraźnej potrzeby innym, który ma tylko ładny wygląd, ale jest banalny i będzie zasługiwał jedynie na to, żeby można było powiedzieć o nim przyjacielowi: „jest modny”!

Ten brak wolności, co więcej, to zniewolenie

przez modę, jest jakby diabelską łapą, która mocno trzyma okazałą liczbę chrześcijan.

Ileż pieniędzy składa się na ołtarzu tej niewoli! I nie zdajemy sobie sprawy z tego, że można by za nie uczynić tyle dobra.

Być ubogim w duchu oznacza przede wszystkim być wolnym od tego, co się zwie modą, oznacza wolność.

Nie kupuję koca tylko dlatego, że jest modny; kupuję koc, ponieważ jest mi on potrzebny. Bez koca moje dziecko trzęsłoby się w łóżku z zimna.

Chleb, koc, stół, ogień — to są rzeczy niezbędne do życia. Korzystanie z nich jest urzeczywistnianiem planu Bożego. „Wszystko inne pochodzi od złego ducha”, można by powiedzieć, parafrazując pewną wypowiedź Jezusa o pochodzeniu prawdy. A to „wszystko inne” — to moda, nawyki, zbytek, zachłanność, bogactwo, niewola, duch świata.

Szuka się nie tego, co pożyteczne, ale tego, co się podoba innym. Potrzeba nam takiej maski, gdyż bez niej nie bylibyśmy zdolni żyć.

Sprawa staje się poważna, kiedy w grę zaczynają wchodzić „style”, bo wtedy wydatki stają się wprost astronomiczne. „To jest Ludwik XIV..., to jest autentyczny barok..., to jest..., itd., itd.”

Sprawa staje się jeszcze bardziej poważna, kiedy „style” przenikają do domów ludzi Kościoła, którzy przecież są powołani, żeby głosić Ewangelię ubogim.

Znalazłoby się na to pewne usprawiedliwienie, gdyż jest prawdą, że w minionych wiekach, od odrodzenia do baroku, tryumf Kościoła i ludzka potrzeba godnego uwielbienia Boga przejawiały się w nadzwyczajnym przepychu i zbytku.

I biedni tym się wcale nie gorszyli, a nawet podobał im się ten przepych i wystawność.

Pamiętam, że moja matka, która była także biedną kobietą, opowiadała z dumą i zadowoleniem chrześcijanki o pięknie i bogactwie pałacu biskupa oraz o okazałych limuzynach dostojników Kościoła, które stały pod oknami.

Ale teraz wszystko się zmieniło i nie jest już tak jak dawniej, i gdyby pewien prałat, mój stary przyjaciel, wiedział lub, jeszcze lepiej, słyszał te słowa, które padają za jego wytwornym amerykańskim autem, pośpiesznie by je przykrócił, albo zamienił na inne, małowitrazowe w szarym kolorze, a nawet przesiadłby się na rower.

Mówi się dzisiaj o „Kościele ubogich” i nie sądzę, żeby to był tylko czczy frazes.

Należy jednak wiedzieć, co oznaczają te słowa.

Kiedy się mówi o ubóstwie w Kościele, to nie powinno się go utożsamiać z „błogosławieństwem ubóstwa”. To bowiem ubóstwo, o którym mówi błogosławieństwo, jest cnotą wewnętrzną i nie mogę, i nie powinienem sądzić o niej po zewnętrznym wyglądzie mojego brata.

Również ci, co opływają w bogactwie i nawet Papież, ubrany w złożony ornat, mogą i powinni się cieszyć błogosławieństwem ubóstwa: w swoim sercu mogą i powinni być „ubodzy w duchu”. Nikt nie może ich osądzać, opierając się jedynie na zewnętrznych pozorach, a zwłaszcza w Kościele.

Gdy się bowiem mówi o ubóstwie w Kościele, rozumie się przez to ubóstwo społeczne, ubogie oblicze Kościoła, opiekę nad biednymi, pomoc świadczoną ubogim, głoszenie Ewangelii ubogim.

W rzeczywistości jednak bywa zupełnie inaczej.

Kiedy się mówi o ubóstwie w Kościele, to rozumie się przez nie postawę wierzących wobec innych ludzi, a ona to właśnie wywołuje zgor-



szenie człowieka ubogiego — podobnie jak gorzyl św. Pawła sposób, w jaki postępowali chrześcijanie w Koryncie:

„Tak więc, gdy się zbieracie, nie ma u was spożywania Wieczerzy Pańskiej. Każdy bowiem już wcześniej zabiera się do własnego jedzenia, i tak się zdarza, że jeden jest głodny, podczas gdy drugi nietrzeźwy. Czyż nie macie domów, aby tam jeść i pić? Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydząć tych, którzy nic nie mają?”<sup>2</sup>

Czyż i my nie sprawiamy przykrości biednemu naszą dostatnością i bogactwem, gdy przechodzimy obojętnie obok niego, kiedy nie ma on pieniędzy na zapłacenie za mieszkanie? Jakże możemy głosić Ewangelię, przemawiając z piedestału naszej ekonomicznej pewności, tym, którzy nie wiedzą, czy jutro będą mieć pracę i chleb?

Ale ubóstwo jako błogosławieństwo nie jest tylko prawdą, wolnością i sprawiedliwością; jest ono i pozostaje nade wszystko miłością, a jej zasięg jest podobnie bezkresny jak zasięg Bożych doskonałości.

Ubóstwo jest wyrazem miłości do ubogiego Jezusa; znaczy to, że jest ono dobrowolnym przyjęciem pewnych wyrzeczeń. Jezus mógł być także bogatym człowiekiem; nie musiał ograniczać swoich pragnień i rezygnować z nich. Nie, chciał jednak być biedny, ażeby doświadczyć takich samych wyrzeczeń, jakie przeżywają inni ubodzy; chciał znosić niedostatek, ażeby w swoim własnym życiu poznać tę okrutną rzeczywistość, która przytłacza człowieka szukającego dla siebie chleba i ażeby

---

<sup>2</sup> 1 Kor 11, 20—22.

przeżyć w swoim sercu tę ustawiczną niepewność, jaką przeżywa ten, kto nic nie ma.

To autentyczne ubóstwo, podjęte i znoszone z miłości, jest prawdziwym błogosławieństwem, o którym mówi Ewangelia.

Łatwo jest mówić o ubóstwie duchowym, napełniać sobie usta pobożnymi słowami, kiedy się ma wszystko, kiedy się ma zapewnione mieszkanie, dobre dochody i konto w banku.

Nie; nie łudźmy się i nie przekraczajmy znaczenia tych cennych zaleceń, jakie dał nam Jezus.

Ubóstwo jest ubóstwem i pozostanie nim; i nie wystarczy złożyć ślub ubóstwa, ażeby być ubogim w duchu.

Doprawdy, dzisiaj panuje zgorszenie w duszy ludzi ubogich i żeby je usunąć, byłoby lepiej mniej mówić na temat czystości, jak to zwykle się czyni, a większy nacisk położyć na to błogosławieństwo ubóstwa, któremu naprawdę zagraża dzisiaj całkowite wyłączenie z rzeczywistości tak zwanego „życia chrześcijańskiego”.

Jeśli jest prawdą, a jest to przecież prawdą, że doskonałość nowego prawa polega na miłości, to taka doskonałość powinna obejmować w pełni wszystkie moje dobra, wszystkie moje bogactwa; w przeciwnym bowiem razie nie zaznam tego błogosławieństwa.

Jeżeli kocham, jeżeli naprawdę kocham, to jak się to dzieje, że znoszę z całkowitym spokojem, iż trzecia część ludzkości zagrożona jest śmiercią głodową, podczas gdy ja żyję w zupełnej pewności jutra i w ekonomicznej stabilizacji? Żyjąc dalej w ten sposób, mogę być nawet dobrym chrześcijaninem, lecz z pewnością nie będę święty; dzisiaj jest nadmiar dobrych chrześcijan, a tymczasem świat współczesny potrzebuje świętych.

Umieć przyjąć niepewność jutra, zgodzić się na takie warunki życia, w których musiałoby się często mówić: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, i do tego nieco z trwogą, ponieważ skończyły się pieniądze, mieć odwagę z miłości do Boga i bliźniego, oddać wszystko, bez reszty, a zwłaszcza mieć okno zawsze otwarte na to ubożuchne niebo naszej duszy, okno żywej wiary w Opatrzność Boga Wszechmogącego: tego nam trzeba!

Zdaję sobie dobrze sprawę, że to, co powiedziałem o ubóstwie, jest trudne do przyjęcia, i zdaję sobie także sprawę z tego, że i ja, kiedy byłem jeszcze w świecie, nie potrafiłem go urzeczywistnić.

Tym, który zmienił stary domowy stół na inny, „modny”, jestem ja; tym, który całymi latami żył za maską „podobania się innym”, jestem ja; tym, który wydawał pieniądze, i to nie tylko swoje, na różne „błahostki”, jestem ja.

I właśnie dlatego nie mogę milczeć; muszę powiedzieć starym przyjaciołom to jedno: strzeżcie się pokusy bogactwa! Jest ona o wiele bardziej niebezpieczna, niż się to dzisiaj wydaje trzeźwo myślącym chrześcijanom i wyrządza w duszach tak wielkie spustoszenie właśnie dlatego, że nie docenia się jej niebezpieczeństwa, i również dlatego, że „dla osiągnięcia korzyści” wszystko uważa się za dozwolone.

Bogactwo jest powolną trucizną, która działa niewyczuwalnie i paraliżuje duszę właśnie wtedy, gdy osiąga ona swoją dojrzałość. To chwast, który rośnie razem ze zbożem i który je zagłusza właśnie wtedy, kiedy zboże zaczyna wydawać kłosa. Ileż to pobożnych dusz, pobożnych ludzi, mężczyzn i kobiet, którzy chociaż szczęśliwie przebyli groź-

ne rafa nieczystości, daje się usidłać, nawet po osiągnięciu dojrzałości życiowej, przez tego pięknie ubranego demona i te burżuazyjne gusty.

Teraz, kiedy samotność i modlitwa pomogły mi lepiej oceniać różne rzeczy, rozumiem, dlaczego kontemplacja i ubóstwo są nierozzerwalnie powiązane.

Nie będziemy mogli nigdy wejść w serdeczną zażyłość z Jezusem leżącym w żłobku w Betlejem, z Jezusem wygnańcem, z Jezusem robotnikiem w Nazarecie, Jezusem apostołem, który nie miał gdzie złożyć głowy i z Jezusem ukrzyżowanym, jeżeli nie dokonamy w sobie tego oderwania się od rzeczy, tego oderwania się, które On tak silnie głosił i tak wytrwale stosował w swoim życiu.

Nie dostąpi się za jednym zamachem tego uszczęśliwiającego błogosławieństwa ubóstwa. Nie starczy nam życia, żeby je w pełni urzeczywistnić; ale trzeba koniecznie o nim myśleć, rozważać je, prosić o nie w modlitwie.

Jezus, Bóg rzeczy niemożliwych, pomoże nam; dokona tego cudu, jeśli będzie to konieczne, że wielbłąd z przypowieści przejdzie przez małe i zarzewiałe ucho igielne naszej mądrej i chorej duszy.

## OCZYSZCZENIE DUCHA

Stały się już sloganem słowa, które obiegiły dookoła cały świat i które wyrażają następującą prawdę: „Gdyby zebrać wszystkie pieniądze, jakie wydaje się na dwóch zamożnych kontynentach, w Europie i Ameryce, na kuracje odchudzające albo na leczenie chorób będących skutkiem przedjedzenia, to otrzymałoby się wystarczające środki na to, aby dać chleb wynędzniałym i niedożywionym narodom Afryki i Azji”.

Jest bowiem prawdą, że żarłoczność jest wyróżniającą się cechą człowieka, w tym także człowieka kulturalnego, człowieka wykształconego, człowieka o subtelnych manierach i — zbyt często — osób duchownych.

Jezus, mając to na uwadze, powiedziałby nam: „Skoro nie umieliście sobie poradzić z małymi rzeczami, kto wam powierzy rzeczy wielkie?”<sup>1</sup>

Gdy taką żarłoczność przejawiamy przy stole zastawionym pokarmem dla ciała, to wyobraźmy sobie, o ileż byłaby ona większa przy stole z pokarmem dla ducha, jeśli... jeśli przyszyłoby nam pragnienie, by do niego zasiąść! Skoczylibyśmy, przypuścilibyśmy wprost szturm na niebo, jak to uczynił szatan!

Nie warto się dłużej nad tym rozwodzić: jesteśmy chorzy, nie zrównoważeni, zmysłowi, źli. I zapamiętajmy to sobie: wszyscy bez wyjątku.

Jezus, wydając sąd o nas, sąd dosadny, prawdzi-

---

<sup>1</sup> Łk 16, 11.

wy, trafny, powiedział: „Wy, którzy wszyscy źli jesteście...”.<sup>2</sup>

Na krzyżu zaś dopełnił tego sądu: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”.<sup>3</sup> Źli i szaleni!

Tacy jesteśmy w małych rzeczach i tacy jesteśmy w rzeczach wielkich. Tacy jesteśmy, kiedy doprowadzamy się do niestrawności i jednocześnie pozwalamy umierać z głodu naszemu bliźniemu — i nie przestajemy być takimi w modlitwie i w rzeczach duchowych.

I żeby nas powstrzymać, żeby pohamować ten nasz szturm na niebo, żeby zapobiec niestrawności i tuczeniu się tymi rzeczami duchowymi, Bóg znalazł skuteczny środek: suchą wiarę, bezgraniczną nadzieję, miłość bez rozkoszy.

Człowiek, który po pierwszych krokach w życiu duchowym podejmuje walkę, by osiągnąć postępy w modlitwie i w zjednoczeniu z Bogiem, zadziwia się trudnościami, jakie się piętrzą na tej drodze.

Im dalej posuwa się naprzód, tym mroczniej robi się wokół niego; im dłużej idzie, to tym bardziej wszystko dla niego staje się bez smaku i bez wyrazu. Jest wprost zmuszony szukać odrobiny pociechy, przypominać sobie dawniejsze radości, te, które przeżywał, gdy stawiał pierwsze kroki, które dawał mu Bóg, żeby przyciągnąć go do siebie.

Czasem o mało nawet nie wykrzyknie: „Panie, gdybyś nam choć trochę pomógł, więcej ludzi by poszło za Tobą”.

Ale Bóg nie słucha takiego wołania; przeciwnie, zamiast przyjemności daje uczucie nudy; a zamiast światła zsyła ciemności.

---

<sup>2</sup> Mt 7, 11.

<sup>3</sup> Łk 23, 34.

Otóż właśnie wtedy, w połowie naszej drogi, dochodzi do tego, że nie wiemy, czy idziemy naprzód, czy cofamy się; lub raczej... wyczuwamy, że cofamy się do tyłu.

Lecz to dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa walka i zaczynamy sprawy duchowe traktować poważnie. Tak, zaczynamy je traktować poważnie, gdyż nabierają one dla nas prawdziwego znaczenia. Powoli odkrywamy, ile naprawdę jesteśmy warci: nic albo niewiele. Sądziliśmy dotąd, kiedy kierowaliśmy się tylko uczuciem, że jesteśmy szlachetni; i oto odkrywamy, że jesteśmy egoistami. Myśleliśmy, zwodzeni fałszywym światłem estetyzmu religijnego, że umiemy się modlić; a oto uświadamiamy sobie, że nie potrafimy już powiedzieć nawet „Ojczy nasz”. Byliśmy przekonani, że jesteśmy pokorni, uczynni, posłuszni; a stwierdzamy, że pycha przesiąknęła całą naszą istotę, aż do najgłębszych korzeni jestestwa. Modlitwa, stosunki z ludźmi, działalność, apostołstwo: to wszystko jest skażone.

Jest to czas dokonywania bilansu własnego życia, a wynik tego bilansu jest bardzo mizerny.

Wyjątkiem mogą być tu tylko niektóre dusze uprzywilejowane — które od początku wiedziały, na czym polegają trudności i nie dawszy się zwieść ani ludziom, ani szatanowi, weszły na ciernistą i prawdziwą drogę pokory i dziecięctwa duchowego — natomiast większa część ludzi musi przeżyć ciężkie i bolesne doświadczenie.

Zwykle ma to miejsce mniej więcej w wieku czterdziestu lat: jest to wielka liturgiczna data życia, data biblijna, czas demona działającego w południe, czas drugiej młodości, ważna data w życiu człowieka:

„To pokolenie budziło we Mnie wstręt przez lat czterdzieści, i powiedziałem: Są oni ludem o sercu zblakany i moich dróg nie znają”.<sup>4</sup>

Jest to czas, w którym Bóg postanawia przyprzeć do muru człowieka, który aż do tej pory krył się przed Nim za zasłoną dymną tego trochę „tak” i trochę „nie”.

Za sprawą przeciwności, pustki i ciemności, a jeszcze częściej i jeszcze bardziej wyraziście, kiedy widzi grzech lub doświadcza go na sobie, człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, czym jest: nędznym stworzeniem, kruchą i słabą istotą, splotem pychy i podłości, konformistą, próżniakiem, głupcem.

Ta moralna nędza człowieka nie ma granic; niekiedy sam Bóg pozwala wypić ją człowiekowi aż do dna.

Ale także przed oczyma tych, którzy w takiej chwili nie grzeszą, ponieważ wspomaga ich łaska Boża, rozpościera się zatrważający obraz przejmujących rzeczy: Boga, człowieka, grzechu.

Dusza spostrzega, że idzie po linie; pod nią widzi piekło, na które zasłużyła po stokroć i przed którym po stokroć uratowało ją miłosierdzie Boże.

Wydaje się jej, że nie ma takiego grzechu, którego by nie popełniła, albo takiego, którego nie byłaby zdolna popełnić.

Ale to jeszcze nie wszystko.

W głębi naszego jestestwa zło, chociaż jest ukryte i prawie wcale albo w ogóle nie uwidacznia się w poszczególnych czynach zewnętrznych, poprzez które mogłoby ukazać się światu, jednakże z głębi, z wewnętrznych pokładów naszego

---

<sup>4</sup> Ps 95, 10.



jestestwa — jak mówi Welte — razi jak trująca limfa i pustoszy najróżnorodniejsze dziedziny naszego życia. Jest to zło, które bardziej wyraża się w pewnych postawach człowieka niż w jego zewnętrznych czynach, lecz które zazwyczaj lepiej określa prawdziwą wartość ludzkiego serca niż te czyny. Jest to bowiem zło, które jest tak ukryte i tak skrzętnie zakamuflowane, że z trudem, i do tego często po długim czasie, możemy je dostrzec, ale jest ono tak żywe w naszej świadomości, że potrafimy sobie zdać sprawę, iż ono nas kała i ciąży na nas o wiele bardziej niż inne rzeczy, z których zazwyczaj się spowiadamy.

Ja dostrzegam te postawy, które spowijają całe nasze życie jak atmosfera i które przewijają się, można by powiedzieć, w każdym naszym czynie i zanedbaniu; chodzi o grzechy, od których nie możemy się uwolnić, o nawyki i wady: lenistwo i podłość, obłudę i próżność, od których nawet nasza modlitwa nie może się całkowicie wyzwolić; które tak mocno ciążą na całej naszej egzystencji i które tak ją pustoszą.

Skończył się czas igraszek i żartów, gadatliwości, tego „co by było, gdyby...”. I gdy wreszcie stanęliśmy na skraju przepaści, która oddziela stworzenie od Stwórcy, uświadomiliśmy sobie własną niewiedzę.

Tam, jeśli już się żyje, to tylko z jałmużny, z darmowej i nieuchwytniej łaski.

Wszystkie środki okazały się bezsilne, wszystkie drogi zbyt kręte. Noc boska, nieprzenikniona, otula nas zewsząd; przerażająca samotność, choć przecież konieczna i nieunikniona, otacza nas ze wszystkich stron.

Każde słowo pociechy wydaje się nam kłamstwem: ma się bowiem wrażenie, że Bóg nas opuścił.

W tak naprawdę bolesnym stanie ducha modlitwa staje się prawdziwa i mocna, chociaż jałowa jak piasek.

Dusza przemawia do swego Boga swoją nędzą, swoim cierpieniem, a nawet swoją niemocą i grzesznością.

Słowa stają się coraz rzadsze, coraz bardziej ubogie. Dochodzi się do stanu milczenia, który jest krokiem naprzód w modlitwie; to milczenie jest bezgraniczne, podczas gdy każde słowo ma swoją treść ograniczoną.

A łakomstwo duchowe?

Och, ono istnieje zawsze! Tli się pod popiołem; ale jest mniej gwałtowne, bardziej umiarkowane, bardziej opanowane.

Bóg przychodzi teraz znowu z pociechami, bo przecież nie do zniesienia byłoby życie w tym stanie opuszczenia. To właśnie Bóg wraca, aby ożywić duszę tchnieniem swojej słodyczy.

I dusza przyjmuje to wszystko z wdzięcznością; ale stała się tak bojaźliwa z powodu doznaných ciosów, że nie ośmiela się prosić o nic więcej.

Wreszcie zrozumiała, że powinna zdać się całkowicie na swojego Odkupiciela i pozwolić Mu działać, że sama nic nie potrafi, że Bóg wszystko może...

I jeśli będzie stanowcza i wytrwała, jakby otulona wiernością Boga... Och! Spozstrzeże prędko, że wszystko uległo zmianie i że ta droga, chociaż tak uciążliwa, wiedzie we właściwym kierunku.

A jest to droga, która prowadzi do miłości; miłość ta nadejdzie tak, jak nadchodzi światło po ciemnościach, jak południe po świcie.

To, co jest tak bardzo ważne, to pozwolić działać Bogu.

## SEKCIARSTWO

Również i dzisiejszego wieczoru Abdaraman towarzyszy mi do pustelni, w której odprawiam adorację Najświętszego Sakramentu: przechodzimy te dwieście metrów, trzymając się za ręce i rozmawiając o tym i owym.

Ale czy wiecie, kim jest Abdaraman? Jest to muzułmański chłopczyk, mający może osiem lat. Mówię „może”, ponieważ nie ma tu urzędu stanu cywilnego i nikt nie zapisuje daty urodzin dziecka; i dlatego tylko nieliczni znają dokładnie swój wiek.

Abdaraman nie chodzi do szkoły, chociaż jest tu, w ued, szkoła, do której uczęszczają Europejczycy i kilku mozabit, synów miejscowych handlarzy. Nie chodzi do szkoły, gdyż jego ojciec Alekh nie pozwala mu.

„Alekh — pytam go — dlaczego nie posyłasz swoich dzieci do szkoły?”

Alekh spogląda na mnie badawczo i mówi: „Bracie Karolu, nie posyłam moich dzieci do szkoły, gdyż ona je tylko psuje. Przyjrzyj się chłopcom, którzy chodzą do szkoły: nie modlą się, nie są posłuszni i chcą się tylko ładnie ubierać”.

Abdaraman chodzi zupełnie nagi: wygląda jak piękny posążek hebanowego koloru, który jest rezultatem ustawicznego mieszania się mieszkańców czarnej Afryki, uprowadzanych tu w niewolę, z mieszkańcami północnych szczepów białej Afryki: Arabów, Berberów i Tuaregów.

Abdaraman jest muzułmaninem, przeszedł ob-

rzezanie jak wszyscy synowie Izmaela i jest wychowywany według surowych zasad. Jego ojciec, Alekh, to prawy człowiek, bogaty w wiarę i dzieci. Kiedy nadchodzi miesiąc ramadanu, pości od wschodu do zachodu słońca, chociaż ciężko pracuje nad uprawą swojego pola położonego na skraju uedu Tamanraset. Alekh jest naprawdę pobożnym człowiekiem i każdego roku, na pamiątkę ofiary złożonej przez Abrahama, zabija barana; przy tej okazji kupuje jasne bawełniane ubranka dla wszystkich swoich małych dzieci. Jego ufność w Boga jest bezgraniczna i pomimo że jest bardzo biedny, nie kradnie, tylko żyje ze swojej pracy, która polega na kopaniu w jedne miesiące kanału, zwanego segia, a w inne, na uprawianiu własnego poletka, które trzeba nawadniać przynajmniej trzy razy w miesiącu.

Kiedyś przybył oddział Legii Cudzoziemskiej i rozłożył się obozem wzdłuż wykopanego w piasku kanału, nawadniającego zboże Alekha.

Oczywiście wody nie starczało i zboże Alekha zaczęło więdnąć.

„Alekh — mówię do niego — jeśli tak dalej pójdzie, to twoje zboże zupełnie uschnie. Idź i powiedz kapitanowi, że segia jest twoja i żeby rozbił obóz gdzie indziej.”

Na to Alekh odpowiedział mi: „Allah jest wielki i zatroszczy się o moje dzieci”; i tak pozwala usychać zbożu, podczas gdy żołnierze myją ciężarówki i chlapią się wodą dla zabawy.

A zatem dzisiejszego wieczoru Abdaraman towarzyszy mi do pustelni. Słońce już zaszło i rześkie powietrze sprzyja przechadzce. Mamy sobie zawsze wiele do powiedzenia, gdyż kochamy się naprawdę. Każdego ranka znajduję go przed moją celą, gdzie czeka, aż skończę rozmyślanie. Często popijamy razem herbatę; mówi mi, że bardzo

smakuje mu chleb, który sam wypiekam. Abdaraman ma zawsze apetyt, lecz nigdy mnie o nic nie prosi; to ja sam mam się domyślać.

Tego wieczoru jest poważny i niechętnie odpowiada na moje pytania. Domyślam się, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, lecz nie może się na to zdobyć.

Jestem jednak przekonany, że wkrótce dowiem się wszystkiego, gdyż między nami nie ma tajemnic.

„Co cię trapi, Abdaraman? Dlaczego nic nie mówisz?”

Milczenie.

„Czy może nie jadłeś kuskusa?”

Milczenie.

„Czy może tatuś cię zbił?”

Milczenie.

„A może fenek<sup>1</sup> uciekł z klatki?”

Milczenie.

„No powiedz, Abdaraman; otwórz twoje serce przed twym przyjacielem, bratem Karolem.”

Abdaraman wybuchając płaczem i jego nagie ciało miota się i kurczy.

Ten jego płacz to całe przedstawienie: doprawdy cały zanosi się od płaczu; łzy, po zroszeniu buzi, spływają mu po piersiach i po brzuszku.

Teraz ja milczę. Muszę chwilę poczekać, aż się uspokoi.

Ściskam mu mocno rękę na znak przyjaźni.

„Powiedz, Abdaraman, dlaczego tak płaczesz?”

„Bracie Karolu, płaczę, ponieważ ty nie chcesz zostać muzułmaninem.”

„Och — wykrzykuję — a dlaczego to miałbym zostać muzułmaninem? Abdaraman, ja jestem chrześcijaninem i wierzę w Jezusa. Modlę się do

---

<sup>1</sup> Drapieżnik z rodziny psów (Przyp. tłum.).

Boga, który stworzył niebo i ziemię, a także i ciebie, i nasze modlitwy wznoszą się do tego samego nieba, gdyż jest tylko jeden Bóg. A mój Bóg jest także i twoim Bogiem. To On nas stworzył, to On nas żywi i kocha. Jeżeli będziesz wypełniał swoje obowiązki, nie będziesz kradł, nie będziesz zabijał, nie będziesz kłamał, jeżeli będziesz szedł za głosem twojego sumienia, pójdiesz do raju; i będzie to ten sam raj, do którego i ja wejdem, jeśli będę wypełniał to, co Bóg mi poleca. No, nie płacz już."

„Nie, nie — krzyczy Abdaraman — jeżeli nie zostaniesz muzułmaninem, pójdiesz do piekła jak wszyscy chrześcijanie."

„Och, to ci się udało, Abdaraman! A któż ci to powiedział, że pójdę do piekła, jeśli nie zostanę muzułmaninem?"

„To Taleb<sup>2</sup> powiedział mi, że wszyscy chrześcijanie idą do piekła; a ja nie chcę, abyś ty poszedł do piekła."

Przyszedliśmy w pobliże pustelni i Abdaraman zatrzymał się. Nigdy do niej bliżej nie podchodził. Zawsze zatrzymywał się na jakieś dziesięć kroków przed tym domkiem i nie wszedłby do niego za żadne skarby świata, jakby odprawiały się tam jakieś tajemnicze diabelskie obrzędy, zakazane małym muzułmanom.

Miłość, jaką ma dla mnie i która jest tak gorąca, uderzała zawsze o ten mur, który nas dzieli i który dopiero dzisiaj wieczór przybrał nazwę wprost przerażającą: „piekło”.

Mówię mu: „Nie, Abdaraman, Bóg jest dobry i zbawi nas obu; zbawi twojego tatusia i wszyscy pójdziemy do raju. Nie wierz w to, że jedynie dlatego, iż jestem chrześcijaninem, pójdę do piek-

---

<sup>2</sup> Nauczyciel w szkole muzułmańskiej.

ła, tak jak i ja nie wierzę, że ty do niego pójdziesz tylko dlatego, że jesteś muzułmaninem. Bóg jest taki dobry! Być może nie zrozumiałeś dobrze tego, co chciał powiedzieć Taleb; może powiedział, że tylko źli chrześcijanie idą do piekła. Bądź spokojny: idź do domu odmówić swoją modlitwę, gdy ja będę odmawiał moją, i zanim ją skończysz, powiedz Bogu to, co i ja Mu powiem: Panie, spraw, by wszyscy ludzie zostali zbawieni. Idź więc...". I smutny wchodzę do swojej pustelni, do tego małego domku, zbudowanego z gliny przez samego Karola de Foucauld, który chciał, żeby go nazywano małym bratem wszystkich ludzi i który zmarł tutaj, zamordowany przez ciemnych i fanatycznych synów tego samego szczepu, do którego należą Alekh i Abdaraman.

Dziś wieczór trudno mi będzie się modlić! Jakież zamieszanie spowodował w moich myślach ten mój mały przyjaciel!

Biedny mały Abdaramanie! I ty również stałeś się ofiarą fanatyzmu i zaślepionej gorliwości tak zwanych „ludzi Bożych”, ludzi pobożnych, którzy posłaliby do piekła połowę rodzaju ludzkiego tylko dlatego, że nie są ci ludzie „jednymi z nich”.

Jakież to wszystko bolesne! Jak to jest możliwe, że do tego dochodzi? Że ta nić miłości, która mnie łączy z bratem, ma być przzerwana przez jakąś wydumaną „gorliwość dla sprawy Bożej”? Jak to się dzieje, że religia, zamiast łączyć, staje się przepaścią śmiertelnego podziału, lub przynajmniej cichej nienawiści? Lepiej już nie wyznawać takiej religii, która dzieli. Lepiej błądzić w ciemności niż podążać za takim światłem!

Po godzinnym wysiłku skupienia się w obecności Najświętszego Sakramentu spostrzegłem, że

łyzy spływają po moim białym chałacie. Teraz i ja płakałem. Ale czy domyślacie się dlaczego?

Robiąc rachunek sumienia, by oczyścić swoją duszę, a nie duszę Abdaramana, z sekciarstwa, wróciłem myślą do pewnego wydarzenia, które miało miejsce w moim dzieciństwie. Miałem wówczas osiem lat, właśnie tyle, ile ma teraz Abdaraman. Mieszkałem wtedy w miasteczku, nad którym górowała sylwetka starej dzwonnicy. Ludzie nie byli tam zbyt religijni, ale za to solidarni i przesadnie przywiązani do tradycji.

Pewnego dnia przybył do nas wędrowny sprzedawca książek, który chodził od domu do domu. Nie rozumiałem wtedy zbyt wiele, ale wówczas to po raz pierwszy w życiu usłyszałem słowo „Biblia”. W miasteczku zrobiło się poruszenie. Najpierw wśród kobiet, potem wśród wszystkich jego mieszkańców; jedni kierowali się gorliwością, innych poniosła duma.

Jakaś kobieta zaczęła wykrzykiwać z okna:

„Kociarz, kociarz... Nie trzeba nam twojej religii. Wynocha stąd!”

Podniecenie udzieliło się również dzieciom.

A człowiek ów szedł blady środkiem drogi. Książki miał w wielkiej czarnej torbie.

Jedna z kobiet rzuciła za nim książką dopiero co u niego kupioną. Człowiek, nie oglądając się, schylił się po nią. Wtedy uderzył go w plecy kamień, rzucony przez jakiegoś chłopaka. Człowiek przyspieszył kroku, a w ślad za nim pobiegła czereda wyrostków. Każdy z nich miał w ręku kamień. Między tymi chłopcami byłem i ja.

Wieczorem, na nabożeństwie majowym, proboszcz pochwalił nas, że stanęliśmy w obronie jego parafii.

Wydaje się, że to nie ma większego znaczenia; ale z perspektywy czterdziestu lat, a zwłaszcza



dziś wieczór, to zdarzenie nabiera zupełnie innej wartości i wagi.

Nigdy nie spowiadałem się z tego, że cisnąłem kamieniem w bezbronnego człowieka, jako że uczyniłem to z religijnej gorliwości. Ten epizod nie miał większego znaczenia dla ludzi, którzy uważali takie zachowanie się za słuszne, nie dostzegając całej jego podłości.

Ale z perspektywy prawie pół wieku wygląda to zupełnie inaczej.

Wyczuwa się powiew czegoś nowego. Tchnienie Ducha Świętego ożywia cały świat. Ten stary świat umiera, a rodzi się nowy. Inaczej już patrzy się na świat, inne są wymagania, wionie inny duch. Jesteśmy u świtu nowej epoki, którą cechuje pragnienie miłości i pokoju między wszystkimi narodami i wszystkimi ludźmi.

Prawda i miłość wychodzą sobie na spotkanie, a poczucie szacunku dla ludzkiej osoby stało się pieśnią przewodnią wszystkich ludzi.

Ruch ekumeniczny rozwiązuje najbardziej zawile węzły; pragnienie poznania i zrozumienia się znacznie przewyższa pokusę trwania na pozycjach w wiekowej cytadeli tej naszej domniemanej prawdy.

Człowiek, być może po raz pierwszy, staje wobec innych bez chęci walki w obronie własnych przekonań, ale z nadzieją, że spotkania z nimi będą dla niego zbawienne.

Przyjaźń staje się zasadniczą podstawą międzyludzkich stosunków, a wojny religijne zaczynają należeć już do przeszłości.

Abdaramanie, mój mały kochany Abdaramanie, nie lękaj się; będziemy się dalej kochać i spotkamy się; i... nie dopiero w raj.

## NAZARET

Karol de Foucauld był szlachetnie urodzonym hrabią. W jego żyłach płynęła błękitna krew i przyzwyczajony był do rozkazywania innym.

Umiłowawszy Chrystusa tak bardzo jak św. Franciszek z Asyżu, starał się odnaleźć w Ewangelii Jego osobowość, cechy charakteru, styl życia.

Rzadko można spotkać człowieka, który namiętniej poświęciłby się poznawaniu szczegółów życia Jezusa po to, żeby potem móc naśladować Jego sposób postępowania, słowa, czyny, urzeczywistniać pragnienia Jego serca.

Otóż w tym pełnym miłości poszukiwaniu wzoru do żywego i wiernego naśladowania Chrystusa, Karol de Foucauld zadziwił się nade wszystko jedną rzeczą, mianowicie tym, że Jezus był człowiekiem ubogim i robotnikiem.

Nikt nie może temu zaprzeczyć. Syn Boży, który mógł dowolnie wybierać — co nie przydarza się nikomu innemu — wybrał dla siebie nie tylko matkę i naród, ale także określone warunki życia i zapragnął być zwykłym robotnikiem.

Trzeba powiedzieć, że to określenie „robotnik”, „wyrobnik”, „najemnik”, zupełnie inaczej dźwięczy w uszach hrabiego niż w moich. Dla Karola de Foucauld wybór warunków życia typowych dla robotnika oznaczał poniżenie, przekreślenie własnej godności.

I właśnie te dobrowolnie przyjęte przez Jezusa warunki życia, to jego zagubienie się w jakimś

nie nie znaczącym miasteczku Bliskiego Wschodu, to unicestwienie siebie samego w codziennej monotonii trzydziestu lat mozolnej i niewdzięcznej pracy, to porzucenie grupy społecznej, „która się liczy”, aby umrzeć w całkowitym osamotnieniu — to wszystko bardzo silnie wstrząsnęło nawróconym hrabią.

Dlaczego Jezus nie był na przykład uczonym w Piśmie? Dlaczego nie chciał przyjść na świat w jednej z tych rodzin liczących się, obarczonych odpowiedzialnością, mających społeczne i polityczne wpływy?

I oto Karol de Foucauld za wszelką cenę postanawia wniknąć w te zamiary, które kierowały Boskim Mistrzem w wyborze stylu Jego życia, Jego całego ziemskiego życia.

Nie będzie mu potrzeba zbyt wiele czasu na sformułowanie hasła, które stanie się na zawsze zasadą ascetyczną tego wielkiego odkrywcy Maroka i mistyka Sahary:

„Jezus tak bardzo szukał ostatniego miejsca, że z trudem mógłby Go ktoś w tym prześcignąć”.

Nazaret był tym ostatnim miejscem: miejscem ludzi ubogich, tych zwykłych robotników, którzy nic nie znaczą, którzy się nie liczą, skazani na ciężki trud dla zdobycia kawałka chleba.

Ale oto coś jeszcze bardziej zadziwiającego. Jezus jest „Świątym Boga”. Otóż ten „Święty Boga” urzeczywistnia swoją świętość nie jakimś nadzwyczajnym sposobem życia, ale życiem wypełnionym w całości zwykłymi wydarzeniami, pracą, sprawami rodzinnymi i społecznymi, pospolitymi ludzkimi czynnościami, będącymi udziałem wszystkich ludzi.

Doskonałość Boga wcieliła się w rzeczywistość świata — tworzywo, którym ludzie prawie zawsze gardzą, a w każdym razie nie szukają go,

ze względu na jego zwyczajność i z tego powodu, że „nie wzbudza zainteresowania”, gdyż jest czymś tak powszednim dla większości z nas.

Raz odkrywszy bogactwo ducha Nazaretu, Karol de Foucauld będzie się starał możliwie jak najwierniej urzeczywistniać je w swoim życiu.

Odtąd dąży do posiadania klasztoru tak małego jak domek w Nazarecie; pragnie zaszyć się, zagubić się w ciszy jakiegoś nieznanego miasteczka; pracując fizycznie naśladuje Jezusa i wzywa swoich małych braci, by szukali zawsze ostatniego miejsca, gdzie są biedacy, gdzie klimat jest bardziej surowy, gdzie zapłata jest najmniejsza, a trud największy. Nazaret oznacza to wszystko; ale nie tylko.

Naśladowanie życia w Nazarecie nie jest czymś małym. Gdy pomyślę, że drzwi, podłoga, ściany mogą oddzielać jakąś rodzinę, świętą jak Rodzina Jezusa, od innej — która, mimo iż żyje tym samym rytmem, pokonuje te same trudności, tak samo spędza dzień, a jest jej całkowitym przeciwieństwem przez smutek, nienawiść, niewierność małżeńską, chciwość, a często i przez rozpacz — to przekonuję się o nieprzebranym bogactwie duchowym, jakie niesie z sobą ewangeliczne orędzie. Te same czynności, spełniane w Bożym świetle, przekształcają całkowicie życie człowieka, rodziny, społeczeństwa.

Radość i smutek, wojna i pokój, miłość i nienawiść, wierność i zdrada małżeńska, szczodrość i chciwość są tymi nieubłaganymi rzeczywistościami, które tak bardzo dzielą ludzi. Stąd też przeżywanie wspólnych spraw, powiązań z ludźmi, codziennej pracy, miłości do naszych bliźnich może rodzić albo świętych, albo demoniczne bestie.

Jezus w Nazarecie nauczył nas jak uświęcać każdą godzinę codzienności. Każda bowiem godzina dnia jest ważna i zdolna zawierać w sobie boskie natchnienia, wolę Ojca, kontemplację modlitewną, jednym słowem: świętość. Wszystkie chwile dnia są święte, wystarczy tylko przeżywać je tak, jak Jezus nas tego nauczył.

I dlatego nie musimy koniecznie zamykać się w klasztorze czy też ustalać dla siebie jakichś osobliwych rozkładów zajęć, niekiedy sprzecznych z naturą człowieka. Wystarczy przyjmować tę rzeczywistość, którą niesie nam każdy dzień. Praca, macierzyństwo, wychowywanie dzieci, życie rodzinne ze wszystkimi jego obowiązkami jest właśnie tą rzeczywistością.

Tę powszednią rzeczywistość powinniśmy uświęcać i nie powinno się sądzić, że jest się świętym tylko wtedy, gdy złożyło się śluby.

Ta dziwna mentalność, która za jedyny warunek życia duchowego uznaje godziny spędzone na pobożnym czytaniu lub na modlitwie i która nie docenia godzin przeznaczonych na pracę, obcowanie z ludźmi — a więc godzin, których jest tak wiele — jest przyczyną poważnych wypaczeń, prawdziwych wykoślawień osobowości, a w najlepszym przypadku powodem tworzenia się anemicznych i skarłowaciałych postaw religijnych.

Cały człowiek musi zostać przekształcony przez zbawczą treść Ewangelii; żadna z jego czynności nie jest tu obojętna; wszystko bowiem może się przyczynić do jego uświęcenia albo do jego zguby.

Nazaret jest stylem życia człowieka, życia rodziny, całym bogactwem ludzkich spraw. Jest sposobem przeżywania przez trzydzieści lat, a więc

przez długi czas dany do dyspozycji człowiekowi, tych codziennych spraw ludzkich, które są zdolne wyrobić w nas wiarę, nadzieję i miłość.

Tylko nieliczni potrafili tak dobrze — jak to uczynił Gandhi w swoich pismach — ująć świętość, do której dochodzi się poprzez spełnianie zwykłych czynności.

Oto co mówi wielki mistyk indyjski:

„Gdy się zanurza rękę w garnku z wodą,  
gdy się roznieca ogień miechem,  
gdy się podlicza długie kolumny cyfr w kantorze,  
gdy pod palącym słońcem uprawia się pole ryżowe,  
gdy stoi się przed hutniczym piecem,  
a równocześnie życia religijnego nie prowadzi się tak,  
jakby się było na modlitwie w klasztorze, świat nigdy  
nie będzie zbawiony”.

Jeszcze inny aspekt życia w Nazarecie chciałbym poruszyć ze względu na tych, którzy myślą, że nie można głosić Ewangelii bez pewnego zaplecza, bez środków, bez pieniędzy.

Jezus był głóścicielem boskiego orędzia; był On najwyższą Mądrością, mógł więc znaleźć lepszy sposób, aby stać się zrozumianym przez ludzi i urzeczywistnić Boży plan zbawienia.

A jednak, co uczynił?

Nie otwierał szpitali, nie zakładał sierocińców; wszedł w lud i przeżywał z nim, jako pierwszy, treść tego zbawczego orędzia.

„Coepit facere”: zaczął działać.

To poprzedzenie nauczania, słów — przykła-

dem, to uciekanie się do „obrazu”, wzoru, by na jego podstawie wytłumaczyć słuchaczom jakąś prawdę, to właśnie był sposób postępowania Chrystusa, o czym zbyt często zapominamy.

W wielu przypadkach katecheza sprowadza się raczej do „słów” niż do „czynów”, częściej do różnego rodzaju konferencji niż do starań o osobistą świętość.

I w tym tkwi, być może, przyczyna jej marnych wyników, a co gorsza, głębokiego przygnębienia i rozczarowania chrześcijan.

Nie ma skuteczności działania, bo nie ma życia; nie ma życia, bo nie ma przykładu; a nie ma go dlatego, że puste słowa zajęły miejsce wiary i miłości.

„Chcę głosić Ewangelię życiem” — powtarzał często Karol de Foucauld i przekonał się, że najskuteczniejszą formą apostołatu jest żyć po chrześcijańsku. Jest to ważne szczególnie dzisiaj, kiedy ludzie stali się bardziej wymagający, nie chcą już słuchać kazań, chcą widzieć przykład życia.

Nazaret, życie w Nazarecie, to — przed działalnością publiczną — długi okres przygotowania, modlitwy, ofiary; okres milczenia, zażyłego obcowania z Bogiem, samotności, oczyszczenia, poznawania ludzi. Życie w Nazarecie jest życiem w ukryciu, jest tym, co tak bardzo ważne i konieczne, by móc się zwać chrześcijaninem.

Z Nazaretu zawsze wyjdzie apostoł.

Ale jaki apostoł?

Wieloznaczność tego słowa „apostoł” jest w naszych czasach zadziwiająca. Mówi się o apostołacie różne rzeczy, w sposób właściwy i błędny; wszyscy stali się apostołami i nawet... noszenie

krzesel określa się mianem działalności apostołskiej.

Może jest tak dlatego, że przywykliśmy do używania wielkich słów, aby życiu parafialnemu lub diecezjalnemu nadać trochę szybszy rytm, ale w sumie nie zmienia to postaci rzeczy, a słowa pozostają tylko słowami.

Nie zamierzam tu analizować właściwego znaczenia słowa „apostół” ani rozwodzić się nad rzeczywistą rozległością tak zwanego „pola działania apostołskiego”. Uchowaj Boże!

Jedyne, co chciałbym powiedzieć na ten temat, to to, że rozmyślając długo o Nazarecie uświadomiłem sobie, że z głębi tajemnicy Nazaretu tryska wyjaśnienie różnic między życiem człowieka świeckiego a życiem kapłana, między apostołem ludzi świeckich a apostołem kapłanów.

Moje pokolenie żyło w trochę nietypowym okresie, niekiedy chaotycznym i wiele rzeczy da się usprawiedliwić bądź to naszą dziecinną niekompetencją i niedostatecznością przygotowania, bądź też wyjątkowym okresem historii. Kiedy bowiem pali się dom, to i kobieta może być strażakiem, i człowiek świecki może rozkazywać biskupowi.

Jednak w zwykłych okolicznościach nie powinno się tak postępować. Ogarnia nas uczucie niesmaku na widok człowieka świeckiego, który chce zastępować proboszcza, tak jak ogarnia nas niesmak na widok księdza przygotowującego listy wyborcze.

Ale dlaczego?

Doprawdy wiele książek można by napisać, aby odpowiedzieć na to pytanie i z pewnością zostaną one napisane, ponieważ doświadczenie nauczyło nas wiele. Ja także, znalazłszy się nieoczekiwanie tutaj na pustynnym piasku, który mi wysusza mózg, i wśród termitów, które toczą mi



książki, poświęcam czas na rozmyślanie o Nazarecie i na doszukiwanie się w sposobie życia Jezusa, Maryi i Józefa podstawowego natchnienia dla tak zwanej duchowości ludzi świeckich.

Ta duchowość ludzi świeckich nie musi być tylko złą czy dobrą kopią duchowości kapłanów, ale może być inna, autentyczna, naturalna i prawdziwa przed Bogiem i ludźmi. Czym innym jest bowiem działalność kapłana, a czym innym polityka; czym innym działalność proboszcza, a czym innym robotnika albo ojca rodziny.

Skoro jest prawdą, że przez duchowość rozumiemy sposób myślenia, życia, doskonalenia się, uświęcania czynów naszego życia, wynika stąd, że myślenie, życie, doskonalenie się i uświęcanie czynów kapłana jest czymś zupełnie innym niż myślenie, życie, doskonalenie się i uświęcanie czynów robotnika, męża, urzędnika.

Tym, co się zmienia, jest właśnie tworzywo, w którym realizuje się świętość. Duchowość kapłańska ma utorowaną drogę: wystarczy pomyśleć o Proboszczu z Ars albo o Cafasso.

Nie da się jednak powiedzieć tego samego o duchowości ludzi świeckich, aczkolwiek wielu sądzi, że to właśnie nasza epoka zajmie się tym zagadnieniem.

Człowiek świecki nie musi być „prawie księdzem”, ale powinien, w miarę swoich możliwości, uświęcać swoją pracę, swoje małżeństwo, swoje kontakty z ludźmi, tak przecież różnorodne, złożone i zobowiązujące.

Św. Piotr w swoim pierwszym liście (2, 5), zwracając się do swych świeckich adresatów, pisze: „Wy również, niby żywe kamienie, jesteście budowani jako duchowa świątynia, by stanowić święte kapłaństwo, dla składania duchowych ofiar, przyjemnych Bogu przez Jezusa Chrystusa”.

Istnieje zgodność co do powszechnego kapłaństwa wszystkich ochrzczonych. Chociaż odmienne od kapłaństwa sakramentalnego, jest ono rzeczywistym kapłaństwem, stawia bowiem człowieka świeckiego wobec stworzenia, ażeby je umiał tłumaczyć, ożywiać, zbawiać i godnie reprezentować.

Jest to niezmiernie ważne i człowiek świecki, który nie zdaje sobie z tego sprawy, odbiegł zupełnie od swojego powołania.

Robotnik jest kapłanem dla swojej pracy; ojciec rodziny jest kapłanem wobec swojej żony i swoich dzieci; przywódca wspólnoty jest kapłanem wobec swoich podwładnych; wieśniak jest kapłanem wobec swojego majątku, swoich zwierząt, swojego pola, swoich kwiatów.

Sądzę, że w ostatnich wiekach niedostatecznie zostało rozwinięte pojęcie tego powszechnego kapłaństwa, o którym mówi św. Piotr w swoim liście oraz to, co wyrażają słowa dotyczące składania przez człowieka ochrzczonego „duchowych, przyjemnych Bogu” ofiar. Stało się to przyczyną uczucia niedosytu, który wyczuwamy podejmując sprawę apostołatu ludzi świeckich i — powiedziałbym nawet — sprawę miejsca świeckich w Kościele. Cóż można powiedzieć o duchowości świeckich, jeśli pominie się ten najważniejszy aspekt i zadanie kapłana rzeczy stworzonych, głosu natury, uświęciciela wartości ziemskich, świętego na ziemi?

Jeżeli człowiek świecki nie dowie się o tych prawdach i zadaniach, to pewnego dnia, kiedy zapragnie stać się „dobrym”, zacznie naśladować proboszcza, którego ma przed sobą i którego uważa za „bardziej uduchowionego”. Stanie się ni świeckim ni księdzem — i może będzie budował swoją postawą dobrych parafian, jednakże z pew-

nością nie tych, którzy tego bardziej potrzebują — tych „oziębłych”.

Ci zaś, całkiem słusznie, nie mogąc znieść takiej dwulicowości, dalej będą sądzić, że chrześcijaństwo nie potrafi rozwiązywać problemów tego świata.

Pozostaje dużo jeszcze do zrobienia, ale jesteśmy na dobrej drodze, gdyż kapłani i świeccy zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, na czym polega ich rola w Kościele.

Moim życzeniem i pragnieniem jest, aby wszyscy, którzy dziś wchodzą na teren działalności apostolskiej, uniknęli błędów i rozterek z lat, w których ja żyłem, kiedy to kapłani zajmowali się propagandą podczas zbliżających się wyborów, a ludzie świeccy udzielali biskupom rad, jak kierować Kościołem.

## OSTATNIE MIEJSCE

Stałem się małym bratem Jezusa, gdyż Bóg tego chciał. Do tego stopnia nigdy nie wątpiłem w swoje powołanie, że gdyby nawet to moje skierowanie się na tę drogę nie było wolą Bożą, to i tak poszedłbym za jego głosem.

Spanie pod gołym niebem, życie w zabójczym klimacie, odwiedzanie naprawdę ubogich szczepów i znoszenie ich smrodliwego zapachu to jeszcze nic w porównaniu z zatracaniem własnej osobowości, na skutek odcięcia się od dotychczasowego życia i pełnej zgody na przyjęcie warunków obcych naszym krajom i kulturom.

Chciałbym to wyjaśnić w krótkich słowach.

Jak wiecie, mały brat nie może sam podejmować jakichkolwiek własnych dzieł. Nie może zakładać szkół, organizować szpitali, tworzyć punktów pomocy lekarskiej, wspomagać materialnie innych. Powinien przybyć do jakiegoś miejsca, wybrać wioskę, jakąś nędzną osadę, szczep koczowniczy, i żyć w nim tak, jak żyją wszyscy inni jego członkowie, zwłaszcza ci najbiedniejsi.

Jest to całkowite zaprzeczenie europejskiego stylu życia, do którego byłem przyzwyczajony od dawna.

Europejczyk, który tu przybywa: wojskowy, misjonarz, inżynier albo urzędnik, buduje sobie dom w stylu europejskim i żyje po europejsku wśród tubylców. Standard jego życia w niczym nie przypomina standardu życia na miejscu, ale

jest kontynuacją standardu życia kraju, z którego przybył.

Stawiano sobie za zadanie głosić Ewangelię, kształcić i wychowywać, pomagać, organizować, wspierać; ale czyniono to na wzór europejski, wykorzystując europejską kulturę, metody i sposób mierzenia do wyznaczonego celu. Świadectwem wiary tych ludzi były dokonywane przez nich dzieła, materialne dzieła.

Nie było to czymś błahym! Cuda miłości i bohaterstwa wpisały się w ziemię Afryki i Azji: kościoły, szpitale, ambulatoria, szkoły, obiekty socjalne tworzono po to, aby nieść ulgę, oddalać śmierć, przyspieszać proces rozwoju ludów Trzeciego Świata.

Był to wspaniały okres misji Kościoła, jedyna dobra strona kolonializmu, który w pewien sposób usprawiedliwiają tamte czasy i ówczesna rzeczywistość.

W każdym razie było to przyjście ludzi białych do ludzi o innym kolorze skóry, wyjście bogatych naprzeciw biednym, chrześcijan naprzeciw poganom. Nie zawsze wszystko szło gładko, nie zawsze misjonarz był utożsamieniem wysłannika Boga, a kolonizator kimś szczodrym i bezinteresownym.

Zbyt długa i zawiła to historia i gdybyśmy chcieli dalej się tym zajmować, należałoby wytoczyć proces kolonizacyjnej przeszłości.

Warto jednak zwrócić uwagę przede wszystkim na to, że w ciągu tak niewielu lat wszystko się zmieniło.

Kościoły afrykańskie zaczynają uświadamiać sobie swoją etniczną odrębność i nie chcą już być tylko kopia Kościołów francuskich, włoskich czy holenderskich; ludy kolorowe nie tylko nie mogą już znieść kolonializmu, ale, odruchowo przeciwstawiając się, zamykają swoje serce dla białych,

nie ufają już im jak niegdyś i często przejawiają wstręt i nienawiść do wszystkiego, co pochodzi od dawnej rasy panującej.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, dochodzi się w osądach do przesady i zaczyna się wszystko oceniać niesprawiedliwie, widząc w przeszłości samo tylko zło.

Nadszedł wreszcie właściwy czas, żeby należyście rozliczyć się z przeszłością, i to ostatecznie.

W tym świetle, mając zwłaszcza na uwadze przyszłą działalność Kościoła na polu misyjnym, dzieło Karola de Foucauld należy oceniać jako prorocze.

Ten Boży człowiek, nieświadom tych wszystkich problemów, pchany jedynie mocą i natchnieniem Ducha Świętego, udaje się do Afryki w czasie jej pełnej kolonizacji. Nie wyczuwa się wtedy jeszcze ani śladu tego, co w przyszłości nastąpi na tak szeroka skalę. Przejęty jedynie głosem Ewangelii Berberom i Tuaregom, rozumie to, czego inni jeszcze nie pojmują, i pracuje tak, jakby proces dekolonizacji już się rozpoczął.

Nie pomoc materialna, nie szpitale, nie ambulatoria, nie szkoły, nie pieniądze...

Pojawia się sam, bezbronny, ubogi.

Zrozumiał on dobrze, iż potęga Europejczyka, choćby nawet wyrażała się w budowaniu szpitali i szkół, na gruncie religijnym nie ma prawie już nic do powiedzenia ubogiemu Afrykaninowi; nie jest ona, jak niegdyś, świadectwem wiary.

Karol de Foucauld zrozumiał, iż tubylec, nawet bardzo prymitywny, nie jest już skłonny przyjmować bez sprzeciwu, jak dawniej, nauczania Ewangelii, które wydaje mu się zbytnio zwią-

zane z jakimś określonym narodem i z określoną kulturą.

Należy obrać inną drogę; a jest to droga zawsze aktualna, o której nam mówi Ewangelia, należy jednak nadać jej nowy wyraz i nową siłę: jest to droga ubogich środków, ofiary, ubóstwa, wyrzeczeń, przykładu.

Jest faktem bezspornym, że nie tylko w ubogich krajach odczuwa się strach przed potęgą. Kościół potężny, bogaty, władczy dzisiaj przeraża.

Ludzkie oko, przerażone możliwościami współczesnej techniki, zatrzymuje się chętnie na tym, co jest małe, bezbronne, słabe. Dochodzi nawet do tego, że odczuwamy lęk przed mówcą, który zbyt głośno przemawia.

Na tym polega cała tajemnica powodzenia, jakie zyskał Karol de Foucauld. Pojawił się bezbronny wśród Tuaregów, którzy mieli stać się jego mordercami. Wszedł w świat arabski, ubrany jak Arab, żył tak między tymi, którzy byli sługami Europejczyków, jakby właśnie oni byli jego panami, budował swoje pustelnie nie naśladowując architektury romańskiej czy gotyckiej, ale wzorując się na prostocie i ubóstwie saharyjskich meczetów.

To, że pojawił się ubogi, był ubrany „jak oni”, że przyjął ich język i zwyczaje, zburzyło mur uprzedzeń i nienawiści i pozwoliło na nawiązanie dialogu, autentycznego dialogu: dialogu równego z równym.

Nigdy nie zapomnę pewnej sceny, która przez swoją prostotę wyraziście ukazuje charakter miłości tego nowego „wyjścia ku tym, którzy nie znają jeszcze Chrystusa”.

Podróżowałem na wielbłądzie szlakiem pustyn-

nym prowadzącym z Geriville do El Abiod, z zamiarem spędzenia w pustynnej strefie kilku dni w samotności.

W pewnym punkcie drogi natknąłem się na grupę robotników. Mniej więcej pięćdziesięciu tubylców, pod kierunkiem podoficera wojsk inżynieryjnych, doprowadzało w trudzie do porządku drogę zniszczoną przez zimowe deszcze. Pod słońcem Sahary nie maszyny, nie technika, ale ludzkie ramiona, w upale i kurzu, obracające przez cały dzień łopata i kilofem.

Przejeżdżam obok robotników rozsianych wzdłuż drogi, odpowiadam na ich pozdrowienia, daję im bukłak z trzydziestoma litrami wody, żeby zaspokoili pragnienie.

W pewnej chwili widzę, jak na twarzy jednego z robotników, cisnących się do bukłaka, żeby się napić, błyska lekki uśmiech, którego nigdy nie zapomnę.

Wynędzniały, obdarty, spocony, brudny: to jest brat Paweł, pewien mały brat, który wybrał ten rodzaj pracy, ażeby w ten sposób przeżywać swoją Kalwarię i wmieszać się w tę ludzką masę jako ewangeliczny zaczyn.

Nikt by nie rozpoznał Europejczyka pod tym ubiorem, brodą i turbanem poóółkłym od kurzu i słońca.

Ja znam dobrze brata Pawła, gdyż razem odbywaliśmy nowicjat.

Inżynier z Paryża... Kiedy usłyszał wezwanie Boga, był zatrudniony w jednym z tych ośrodków badawczych, które pracują nad skonstruowaniem bomby atomowej.

Porzucił wszystko i został małym bratem.

Teraz był tu i nikt nie wiedział, że jest inżynierem; był biedakiem jak inni.

Przypominam sobie jego matkę, która przyje-



chała z okazji składania ślubów po odbyciu nowicjatu.

„Bracie Karolu, niech mi brat pomoże zrozumieć powołanie mojego syna. Wykształciłam go na inżyniera, a wy zrobiliście z niego robotnika. Ale dlaczego? Żebyście przynajmniej wykorzystywali należycie umiejętności mojego syna! Ale nie uważacie, że musi być robotnikiem. Niech brat powie, czy Kościołowi nie przysporzyłoby to więcej chwały i korzyści, gdyby mu pozwolono pracować po linii jego wykształcenia?”

„Proszę pani, odpowiedziałem, są pewne sprawy, których nie można ogarnąć umysłem i które nie mieszczą się w normalnym sposobie rozumowania. Tylko wiara może nas oświecić! Dlaczego Jezus chciał być biedakiem? Dlaczego zechciał ukryć swoje bóstwo i swoją potęgę i żyć między nami jako ostatni ze wszystkich? Dlaczego to, proszę pani, zgodził się na klęskę na krzyżu, na upokorzenie na Kalwarii, na haniebną śmierć Ten, który był Życiem? Nie, proszę pani, Kościół nie potrzebuje jeszcze jednego inżyniera, ale potrzebuje jeszcze jednego ziarnka więcej, aby, wsiane, obumarło w jego roli. A im bardziej to ziarnko będzie pełne życia i wrażliwe na niebo i słońce, tym chętniej ta rola je przyjmie, aby wydało przyszłe plony.

Iluż to spraw nie można zrozumieć na tej ziemi! Czyż to wszystko, co nas otacza, nie jest jedną wielką tajemnicą?

Ja wiem, że Paweł poświęca siebie samego, swoją kulturę, swoje umiejętności z miłości do Boga i z miłości do swoich najbardziej opuszczonych braci; ale rozumiem także reakcję jego matki i nie tylko jego matki.

Wielu ludzi powiedziałoby: cóż za strata! Taki wspaniały umysł marnuje się w jakimś rowie

przy drodze na Saharze. Mógłby skonstruować na przykład maszynę drukarską, która byłaby pomocna przy wydawaniu pożytecznej prasy...

I mieliby rację.

Trudno jest odkryć właściwy sens tajemnicy człowieka, która jest częścią wielkiej tajemnicy Boga. Są tacy, którzy marzą o Kościele potężnym, zasobnym w środki i mającym nieograniczone możliwości, a są i tacy, którzy pragną, żeby był on ubogi i słaby; są tacy, którzy poświęcają swoje życie, zdolności, wiedzę, aby wzbogacić swoją myślą filozofię chrześcijańską, a są również i tacy, którzy z miłości do Boga i do bliźniego rezygnują nawet z nauki.

To jest tajemnica wiary!

Brat Paweł nie dążył do tego, żeby „mieć wpływ” na ludzi; zapragnął „wyzuć się”, „zniknąć”. Inni zaś podążają innymi drogami i urzeczywistniają swoją świętość w odmienny sposób.

Czy mogę wątpić w żarliwość wiary mojej matki, która pragnęła, żeby wszelkie bogactwo znalazło się w rękach Kościoła na przyozdobienie ołtarzy, na dzieła misyjne, dla większego dostojęstwa kultu?

A ja, jej syn, który byłem odmiennego zdania, i marzyłem o skromniejszym kulcie, o bardziej widocznym ubóstwie, a nade wszystko o pracy apostolskiej prowadzonej za pomocą „ubogich środków”, czy również nie miałem swoich racji?

Jakże trudno jest wydawać o tym wszystkim sądy! To bardzo trudne — do tego stopnia, że sam Jezus zalecał nam, by tego nie czynić.

Jest jednak pewna prawda, której powinniśmy się zawsze trzymać, bezwzględnie zawsze: jest nią miłość!

To ona usprawiedliwia nasze czyny, niekiedy

tak bardzo różne. To ona jest doskonałością prawa.

Jeśli to z miłości brat Paweł zapragnął umrzeć na pustynnej drodze, można go w pełni usprawiedliwić.

Jeśli to z miłości Don Bosco i Cottolengo budowali szkoły i szpitale, można ich w pełni usprawiedliwić.

Jeśli to z miłości św. Tomasz z Akwinu spędził życie nad książkami, to można go w pełni usprawiedliwić.

Pozostaje jedynie problem ustalenia hierarchii tych miłości; i w tym wypadku sam Jezus podsuwa nam jednoznaczny sposób: „Największy między wami niech będzie jak najmłodszy, a przełożony jak sługa”.<sup>1</sup>

A także: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”.<sup>2</sup>

---

<sup>1</sup> Łk 22, 26.

<sup>2</sup> J 15, 13.

## O TY, KTÓRY PODAŻASZ PUSTYNNYM SZLAKIEM...

Szlak pustynny wiodący do Taifet jest naprawdę trudny do przebycia.

Zawsze, kiedy tylko mogłem, omijałem go z przyjemnością. Woląłem przedłużyć sobie trasę o kilka kilometrów, jadąc przez Ideles i Irafok, aniżeli przejeżdżać tymi wyboistymi wąwozami, gdzie trzeba było w kamienistych miejscach torować sobie drogę łopata i kilofem, a później posuwać się w grząskim piasku krętych i dziwacznych uedów, które nigdy się nie kończyły.

Ale tym razem nie miałem innego wyboru i ruszyłem tą drogą, zbierając wszystką odwagę, jaką miałem, ale której nie było jednak zbyt wiele — po wiejącym przez tydzień gorącym wietrze z południa i po przejrzeniu komunikatów meteorologicznych.

Niebo, jak zwykle, było bez żadnej chmurki, a słońce paliło bezlitośnie już od ósmej rano. Ale nie zważałem na to: jedynym moim zmartwieniem był silnik jeepa, który zdradzał oznaki zmęczenia i nie chciał już wyciągać pojazdu, kiedy ten zagrzebywał się w piasku aż po podwozie.

Trzeba było jednak jechać naprzód. Bo i któż by mi przyszedł z pomocą na tym pustynnym szlaku?

Wieczorem przed podróżą, przy studni w Tazrouk, nabrałem tyle wody, ile się dało, ale nawet mimo to już się kończyła... i co dalej?

Cóż bym bowiem sam począł na tej bezkresnej

pustyni, będącej obrazem śmierci i wiecznego milczenia?

Tak, cała moja nadzieja była w silniku; w tym silniku, którego drzenie i dźwięki tak dobrze znałem i który, przynajmniej jak do tej pory, nigdy mnie jeszcze nie zawiódł.

Ale co będzie teraz? Czy uda mi się przebyć te dwadzieścia dwa kilometry uedu Taifet, ten szlak tak sypkich i skrzących się piasków, tak duszących żarem dzikich wąwozów?

Mija dziewiąta... dziesiąta... jedenasta... Z przerwami, robionymi po to, żeby ostudzić silnik i po szczęśliwym przebrnięciu przez te niezwykle grzaskie, piaszczyste wydmy, dojechałem wreszcie w pobliże Taifet, małej osady byłych niewolników, leżącej na skraju uedu o tej samej nazwie.

Ruszyłem ostro drogą, zdecydowany pokonać szybkością ten piasek, który stawał się coraz bardziej sypki i zdradliwy. Upał był wprost duszący, a woda wrzała w chłodnicy.

Wiedziałem, że w tych warunkach z pewnością daleko nie zajadę! I rzeczywiście, silnik, pracujący na pełnych obrotach, w ostatnim swoim wysiłku, żeby utrzymać prędkość, wydał przeciągły jęk i stanął.

Ugrzązłem w piasku.

Pomimo że bałem się udaru słonecznego, wysiadłem z jepra.

Nie miałem jednak dość sił, by wziąć łopatę i wydostać samochód z piasku.

Rozglądałem się za cieniem.

W uedzie, tu i tam, rosły jakieś krzewy. Skierowałem się ku najbliższemu i wyciągnąłem się na ziemi w jego cieniu.

Nie wiem, jak to się stało, ale właśnie w owej chwili przypomniał mi się prorok Jonasz, który

siedząc pod krzewem bluszczu, chroniącym go przed słońcem, spoglądał na gorejącą Niniwę.

Miałem jednak mało czasu na biblijne rozważania, ponieważ prawie natychmiast ogarnął mnie sen.

Kiedy się ocknałem, usłyszałem wokół siebie przyciszone głosy przeplatane chichotem.

Byłem cały mokry od potu i bolała mnie głowa.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem wokół siebie mieszkańców Taifet, którzy przyglądali mi się z uśmiechem na ustach.

Jakże białe były ich zęby i jakże lśniła ich ciemna skóra!

Było ich może z dwudziestu, przerwali swoją pracę, jak tylko przyjechałem.

Zobaczyłem, że już rozpalili ognisko, by zaparzyć herbatę. Po tym gorącym i pobudzającym napoju przyszedłem nieco do siebie.

Zaprosili mnie, żebym zjadł z nimi kuskus, a ja ze swej strony podzieliłem się z nimi wszystkim, co miałem w jeepie.

Dopiero gdy otrzymali ode mnie tytoń, stali się bardziej rozmowni i posiłek upływał wśród wybuchów radości.

Ale trwało to wszystko tak krótko!

Czekała na nich praca i to jaka praca!

Musieli kopać w uedzie podziemny kanał, zwany fogara, mający zbierać wodę, którą piasek był nasiąknięty, i doprowadzać ją do pobliskich poletek, gdzie dojrzewające zboże potrzebowało obfitego nawadniania. Jeden nieprzewidziany ulewny deszcz zniszczył starą fogarę i trzeba było ją naprawić nie tracąc czasu.

Tydzień spóźnienia wystarczyłoby, żeby zmarnowały się zbiory, a oznaczałoby to głód przez cały rok.

Postanowiłem popracować z nimi przez kilka dni, choć wiedziałem, że pomoc moja nie będzie najprzydatniejsza.

Tak więc przeżyłem cały tydzień wspólnie z jedną z najuboższych grup ludzi, jacy istnieją na ziemi.

Praca rozpoczynała się o świcie i trwała aż do zachodu słońca.

Prymitywnymi narzędziami drążyliśmy tunel, który biegł około trzech metrów pod powierzchnią uedu w gruncie piaszczystym a jednocześnie spoistym dzięki zawartości w nim wody. Wybierany piasek przesuwano się w kierunku studzienek, które łączyły tunel z powierzchnią ziemi, i wyrzucało się go łopatami na zewnątrz.

Ten, kto pracował w tunelu, miał tę korzyść, że mniej dręczył go upał, ale za to przebywał w niewygodnej pozycji, tego zaś kto pracował na powierzchni, mniej bolał kręgosłup, ale za to dusił piekielny skwar. W obydwu wypadkach pracowało się w wielkim mozole i wzdychało z utęsknieniem do wieczora, do posiłku i do odpoczynku.

Wieczorem zebrani wokół ogniska jedliśmy kolację; gdyby wtedy pomiędzy nami byli amerykańscy znawcy od dietetyki, z łatwością obliczyliby spożywane kalorie, których mieliśmy zawsze o wiele mniej, niż wymaga tego ludzki organizm. W zamian za to jadło się niezwykle rzadkie potrawy w porównaniu z europejskimi gustami i daniami.

Pierwszego wieczoru były pieczone szarańcze z niewielką ilością kuskusa, nazajutrz małe myszki pustynne, zwane gerboise<sup>1</sup>, zaś przez następne dwa dni gotowane kawałki jakiejś jaszczurki, zwanej

---

<sup>1</sup> Zool. skoczek. (Przyp. tłum.).

dobb, zresztą bardzo smacznej, i z której można było uzyskać — jak mówili Tuaregowie — ze czterdzieści cennych środków leczniczych.

Nocą, leżąc owinięty kocem w pobliżu lepianki, długo patrzyłem w niebo przed zaśnięciem.

Jakiż związek mógł mieć ten blask, ta jasność gwiazd z nędzą, wśród której się nagle znalazłem; ta nieskończoność materii rozciągniętej we wszechświecie bez granic z krańcowym ubóstwem tych ludzi?

Jest to tajemnica zła, cierpienia; tajemnica ludzi, którzy umierają z głodu, żyją zezwierzęceni przez tę nieludzką pracę, skazani na życie, w którym ustawiczna udręka, czy się znajdzie kawałek chleba, zatruwa każdego dnia radość ze wschodu słońca.

Byłem jednak zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się, dlaczego Bóg tu nie zadziała, On tak wszechmocny i tak dobry. Kierowałem raczej moje myśli na „możnych tego świata”, na ludzi, którzy tak łatwo mogliby nam pomóc.

Czy to tak trudno byłoby mi napisać do Włoch, gdzie miałem tyłu przyjaciół? Przysłaliby mi natychmiast buldożer, który by wykopał kanał w kilka dni; przysłaliby mi szybko przynajmniej potężne żelbetonowe rury, z których by się zrobiło trwałe podziemne kanały, przez co uniknęłyby się ich uszkodzeń przy pierwszej lepszej powodzi w uedzie. A ja tymczasem pozostawałem tu, obojętny, i patrzyłem na gwiazdy!

Czy można było w jakiś sposób usprawiedliwić ten mój brak działania albo przynajmniej to moje mało dla tych ludzi przydatne działanie?

Na cóż mogły się przydać te moje wątłe ramiona przy tak ciężkiej pracy, to moje stare serce w tak wielkim trudzie?



Czy nie byłoby lepiej poszukać jakichś bardziej skutecznych środków?

Ten właśnie problem często mnie nurtował, do tego stopnia często, że nawet zacząłem zdawać sobie sprawę z pytania, które wciąż przychodziło mi na myśl: czy moje powołanie ma jakiś sens?

Wystarczy, żebym odszedł na moment od tego klimatu wiary, w jakim chcę żyć, a natychmiast widzę, jak zaczyna we mnie tryumfować ludzki „zdrowy rozsądek”.

Jest to ten zdrowy rozsądek matki brata Pawła, która nie mogła pojąć poświęcenia się swojego syna na bezdrożach Sahary, gdyż uważała je za bezużyteczne; jest to mój zdrowy rozsądek, który usiłuje przekonać mnie, że będę bardziej użyteczny dla ludzi z Taifet, jeśli sprowadzę im kilka ciężarówek z materiałami budowlanymi; jest to zdrowy rozsądek tych wszystkich, którzy sądzą, że pieniądze mogą wszystko rozwiązać i że cierpienie na nic nie może się przydać.

Ale czy w Ewangelii jest zdrowy rozsądek? A może jest w niej raczej tajemnica?

Czyż Jezus, kiedy przyszedł na tę ziemię, On, który jest wszechmocny, który jest miłością, nie mógł uleczyć wszystkich chorych, nakarmić wszystkich zgłodniałych i ubogich, zaleczyć wszystkich ran, wskrzesić wszystkich umarłych?

Dlaczego więc tego nie uczynił? Dlaczego pozostawił ten świat takim, jakim go zastał: cierpiącym nędzę, zbolełym, niesprawiedliwym, złym?

To prawda, że wskrzesił Łazarza, córkę Jaira, syna wdowy z Naim, lecz tylko dlatego, aby dowieść, że nie zamierza wskrzeszać wszystkich zmarłych, których było wielu. Uzdrowił tylko nie-licznych, ale pozwolił im zachorować przy pierw-

szej okazji, nie tak znów rzadkiej w przypadku człowieka.

Nie, rzeczy nie są tak oczywiste, jak tego pragnie zdrowy rozsądek ludzki i pozostaje, czy się chce czy się nie chce, wielka i nieprzenikniona tajemnica, którą tylko wiara może mi oświecić i to oświecić światłem, które nie jest z tego świata i które potrafią dostrzec tylko uważne i przenikliwe oczy.

Tajemnicą jest sam Jezus. Jest On tajemnicą nie tylko przez swoją Boską transcendencję, lecz również jest tajemnicą w chwili, w której zbliża się do nas przez swoje Wcielenie. Doskonałość Boga, wszechmoc Boga, nieskończona miłość Boga stały się człowiekiem w Chrystusie, który „zamieszkał wśród nas”.

Zawsze, ale przede wszystkim w dwóch momentach, to Jego „zamieszkanie wśród nas” jest tak wyraziście prawdziwe przez swoje olśniewające piękno: w Betlejem i na Kalwarii.

W Betlejem Bóg staje się całkowitą niemocą, na Kalwarii zaś staje się samym cierpieniem.

Nigdy Jezus nie był w większym stopniu człowiekiem niż w tych dwóch momentach, albowiem niemoc i cierpienie są najbardziej widocznym dziedzictwem człowieka na ziemi, jako stworzenia i grzesznika.

Jest jednak zasadnicza różnica między niemocą i cierpieniem człowieka a niemocą i cierpieniem Chrystusa: te pierwsze są z konieczności, te drugie zaś są dobrowolnie przyjęte, pierwsze — przyjmowane z buntem, drugie — z miłością. Jezus staje u boku człowieka i uczy go, jak przeżywać niemoc i jak znosić cierpienie z miłości i w miłości.

A więc to miłość jest wielkim oknem otwartym

na tajemnicę jednego i drugiego dziedzictwa człowieka — tylko miłość.

U boku człowieka pogrążonego w swojej nędzy i przytłoczonego cierpieniem idzie Jezus.

Miał On tysiące sposobów, żeby pomóc człowiekowi, wybrał jednak sposób najbardziej bolesny dla siebie, najbardziej krańcowy: postanowił naśladować go, stanąć na jego miejscu, upodobnić się do niego tak, jak to tylko jest możliwe. „We wszystkim stał się podobny do człowieka, z wyjątkiem grzechu.” Natomiast u boku Joba, który spogląda na swoje wrzody i oplakuje na gnojowisku swoje życie, przyjaciele teologowie prowadzą wnikliwe dyskusje i próbują dociec „dlaczego” jego nieszczęścia.

Wreszcie wydają sąd i oskarżają go: „Jeżeli cierpisz, to dlatego, że jesteś grzeszny” mówią mu i opuszczają nędznego człowieka, wstrząsanego płaczem i wypowiadającego te gorzkie słowa: „Niech przepadnie dzień mego urodzenia i noc, gdy rzeczone: »poczęty mężczyzna«”.<sup>2</sup>

I dlatego to właśnie ten, który cierpi, nie zadowala się teologią. Potrzeba mu czegoś zupełnie innego.

Kiedy przybyłem do Afryki, żeby stać się małym bratem Jezusa, mieszkałem przez jakiś czas w Algierze, u swego starego przyjaciela.

Serce moje biło szybciej w owych dniach i świat ukazał mi się w nowym świetle, w świetle, jakie tryskało z serca tego człowieka, którego teraz chciałem naśladować na pustynnych szlakach: Karola de Foucauld.

Zobaczyłem wszystko inaczej niż to widzi Euro-

---

<sup>2</sup> Job 3, 3.

pejczyk, który mając środki i kulturę, pragnie dawać i czynić coś dla innych.

Pragnąłem ukryć się, bez pieniędzy w kieszeni, przebrany za Araba, w anonimowym tłumie biednych muzułmanów, którzy roili się po ciasnych zaułkach Kasby.

Przypominam sobie, jak kiedyś, koło południa, zauważyłem tworzący się na chodnikach przy potężnej jak forteca budowli długi szereg obdartych biedaków...

Każdy biedak miał ze sobą niewielkie naczynie. Zobaczyłem, jak otwierają się drzwi i jak pojawia się w nich siostra zakonna, ubrana na biało, i z ogromnym buchającym parą baniakiem.

Była to pora codziennego rozdzielania darmowego posiłku i każdy biedak odchodził z kawałkiem chleba i z gorącą zupą.

Patrzyłem na tę procesję jak oniemiały i kiedy rozmyślałem o tych ludziach napiętnowanych nędzą, łzy spływały mi z oczu, przesłaniając tę scenę, która rozgrywała się pod promieniejącym niebem afrykańskiego miasta.

Szukałem dla siebie miejsca pośród tej przerażającej nędzy.

Opuściłem swoją ojczyznę wiedziony pragnieniem całkowitego wyzucia się, aby oddać się swemu Bogu, aby szukać wśród ubogich oblicza ukrzyżowanego Jezusa, aby zrobić coś dla swoich najbardziej opuszczonych i wzgardzonych braci, ażeby szybciej znaleźć pośród nich i w miłości do nich prawdziwe zjednoczenie z Odwiecznym.

Cóż więc miałem czynić? Czy również otwierać ambulatoria i dawać, dawać chleb, kulturę i lekarstwa tym ubogim ludziom? Jakie było moje miejsce w tym wielkim ewangelizacyjnym dziele Kościoła?

Szukałem w tłumie człowieka, podobnego do tego, który mnie przyciągnął do Afryki, ojca de Foucauld. Tak małego, tak pokornego, z naczyniem w ręce, odnalazłem go gdzieś w środku kolejki. Uśmiechał się nieco z zażenowaniem, jakby chciał prosić o wybaczenie, że również i on, stojąc tutaj, przysparza kłopotów i trudności.

Wtedy to niewątpliwie, pomimo całego mojego lęku przed cierpieniem, pomimo mojej zbyt wielkiej słabości, ażebym mógł przyjąć na siebie cały ciężar innych, pomimo strachu przed wejściem na krzyż, zrozumiałem, że również i moje miejsce jest tam i że będę usiłował podążyć z tą rzeszą ludzi, stając się jednym z nich.

Ktoś inny w Kościele ma za zadanie głosić Ewangelię, budować, walczyć z głodem, nauczać; ode mnie zaś Pan domagał się, żebym był biednym wśród biednych, robotnikiem wśród robotników.

Tak, przede wszystkim robotnikiem wśród robotników, ponieważ świat dzisiejszy nie jest już światem szukającym jałmużny, jak w czasach św. Franciszka, ale światem szukającym pracy i sprawiedliwości.

Świat, ku któremu zdązałem, był światem naznaczonym ubóstwem — cechą tak charakterystyczną proletariatu wszystkich ras i wszystkich narodów — dla którego to świata praca stanowi ciężką codzienną udrękę, gdyż nigdy nie jest z wyboru i zawsze jest bolesna, wyczerpująca, brudna i źle wynagradzana.

Po tygodniu spędzonym w Taifet wyjechałem do Tamanraset.

Czułem, że nie wytrzymałbym dłużej w tym trudzie i w tej nędzy. Bo w tym wypadku byłem

najbiedniejszym z tych biedaków, gdyż nie udawało mi się ani przez chwilę znosić tego wszystkiego, co oni znosić muszą zawsze.

Potrzebowałem modlitwy. Pragnąłem znaleźć się sam w mojej pustelni, gdzie Jezus był wystawiony dzień i noc, ażeby odetchnąć przy Nim, błagać Go, zagubić się w Nim.

Nade wszystko chciałem Go prosić, aby uczynił mnie bardziej małym, wyzutym, bardziej prostym.

I żebym był zdolny wrócić do Taifet.

Tak, żebym był zdolny wrócić do Taifet i żebym mógł przeżyć tam ostatnie lata swojego życia. Żebym miał lepiankę taką „jak oni”, dobytek składający się jedynie ze słomianej maty i koca, taki „jak oni”, i żebym mógł zamieszkać na skraju uedu i wydzierać mu odrobinę wody tymi okrutnymi fogarami, które wiecznie się wałają, jakby szydząc z naszego trudu!

Ale „oprócz tego, co oni” mieć jeszcze Jezusa w Hostii Najświętszej, ukrytego w lepiance, żeby Go wielbić, błagać, kochać i czerpać od Niego siły, żeby się nie buntować, żeby nie złorzeczyć, żeby przyjmować z miłością ubóstwo, jakie niesie ze sobą każda godzina.

I tak trwać, aż nadejdzie dzień, kiedy na skraju tego uedu zostanie wzniesiony mały krzyż, który jak strażnik będzie czuwał nad tymi opuszczonymi ludźmi oczekującymi z nadzieją, że inni, inni przyjdą, aby ich kochać i pomagać im kochać.

## BUNT LUDZI PRAWYCH

To, że wybrałem ostatnie miejsce jako zadanie związane z moim powołaniem, nie ma właściwie jeszcze żadnego znaczenia: jedyne, co się liczy w tym wypadku, to właśnie usiłowanie, żeby wytrwać na tym miejscu przez wszystkie dni mojego życia.

A to jest niezmiernie trudne!

Jest w ludzkim sercu taki wrzód, który narzmięwa z upływem lat: jest nim wrzód ofiarnictwa. Nikt nie jest wolny od tego zła i dopiero bardzo późno udaje się duszy odkryć je i, oby Bóg to sprawił, usunąć je!

Ofiarnictwo jest klasyczną postawą człowieka Starego Testamentu, który to człowiek w stosunkach z bliźnim kieruje się tylko sprawiedliwością.

Przypatrzmy się jakiegokolwiek rodzinie. Zwykle ciężar codziennego trudu jest nierównomiernie rozłożony i przeważnie spoczywa na jednym z jej członków, najczęściej na matce.

Plecy, na których spoczywa ten ciężar całymi latami, garbią się z wysiłku; i przez to jednostronne poświęcanie się pozostali członkowie tej małej wspólnoty mogą żyć w spokoju.

Ale pamiętaj, że pod tymi plecami jest serce; a w tym sercu stopniowo narasta wrzód, narzmięwa on podczas długich milczących rozmyślań.

I oto pewnego dnia, czy to na skutek większego wysiłku, czy to z powodu nakłucia, wrzód

pęka i rozlewa się po całym ciele jego subtelna trucizna!

Dość tego, raz wreszcie koniec z tym! Cały czas byłam waszą służącą, a wyście tego nawet nie zauważali. Poświęcałam swoje życie, a wy zabawialiście się... itd., itd.

Kiedy do czegoś takiego dochodzi — a dochodzi — w jakiejś wspólnotie zakonnej albo w zgromadzeniu pobożnych dusz, burza jest o wiele gwałtowniejsza; i często nawet ściany budynku o mało nie runą. Jest to chwila gwałtownego buntu; a rozlana trucizna jest tak silna, iż może porazić nawet samą miłość.

Musimy jednak przyznać, że ta matka ma rację. Dla sprawiedliwości musimy stwierdzić, że poświęcała się dla swoich najbliższych. Inni w rodzinie zapewnili sobie różnorakie przywileje; ona nie: pracowała, zabiegała, broniła, wspomagała.

Ale jest jeszcze w tym coś poważniejszego, coś, co naprawdę sprawia cierpienie: nie została rozumiana. Wszyscy przechodzili obok tego jej poświęcania się dla nich, nie doceniając go, nie uważali, jak płakała w milczeniu...

Każdy z nas w tej chwili mógłby opowiedzieć swoje przeżycia i doświadczenia; i rzecz dziwna, każdemu z nas się wydaje, że jest w dokładnie takiej samej sytuacji jak ta matka, każdy z nas czuje się ofiarą kogoś lub czegoś. Tak uważa ten, kto miał dzieciństwo pozbawione czułości, kogo źle potraktowano w urzędzie, kto nie został należycie doceniony przy rozdawaniu awansów, kto został niewinnie aresztowany, kto myśli, że zachorował na gruźlicę z powodu kichnięcia sąsiada, kto nie został właściwie rozumiany przez biskupa, kto został zmuszony do ustąpienia z wysokiego stanowiska i kto został skierowany do kuchni zamiast być mianowanym przełożonym klasztoru.



Ale w tym wszystkim najdziwniejsze jest to, że każdy z nas ma rację i że to, co mówimy, jest prawdą.

Nielatwo jest w długim życiu ludzkim, zważywszy na gąszcz, w jakim tkwimy, uniknąć czyjegoś grubiaństwa, niesprawiedliwości, szturchnięcia, a nawet kuli z pistoletu. I wówczas to, pod ciężarem tej niesprawiedliwości albo leżąc w łóżku z powodu choroby, w którą wpędzili nas inni, zaczynamy zdawać sobie jasno sprawę z tego, czym jest to ofiarnictwo.

Jest to cierpienie nie do zniesienia; tym bardziej nie do zniesienia, że nie rani w nas już jakiejś cząstki tylko, ale uderza w całe nasze jestestwo, aż do najgłębszych jego korzeni, w nasze powiązania z Bogiem, w nasze stosunki z bliźnimi.

Jakże mogę kochać brata, prawdziwie kochać tego brata, który żyje każdego dnia kosztem mojego trudu i który odpłaca mi ze swej strony obojętnością i często pogardą? Jakże mogę czuć się dobrze w klasztorze, gdzie moi współbracia nie chcieli dojrzeć moich prawdziwych zalet i nie docenili moich zasług? Jakże mogę pracować jeszcze z zapalem w fabryce, w której awansowano jakąś miernotę, a mnie odtrącono, skazując dalej na codzienną monotonię?

Nie, to nie jest już możliwe; i w rzeczywistości nie Kocham już, nie potrafię już kochać.

Ale nie kochać, nie potrafić już kochać nie jest czymś błahym, jakąś małą sprawą, obok której mógłbym przejść obojętnie.

Świadczenie miłości, czy się chce, czy się nie chce, jest celem mojego życia, jest uzasadnieniem mojego istnienia, jest jedyną prawdziwą radością, z której można czerpać zawsze, nie nasycając się nigdy.

I rzeczywiście, gdy przestaję kochać, radość opuszcza mnie, a mój wewnętrzny spokój zostaje zmaćony.

Podczas bezsennych nocy czuję, jak toczy mnie robak, wyczuwam, jak trucizna przenika w głąb mojego ducha i jak mnie paraliżuje. Próbuję się modlić, ale nawet sama modlitwa stała się pełna goryczy, pozbawiona sensu.

Można by powiedzieć, że niebo nie daje mi już odpowiedzi. Mojemu okrzykowi domagającemu się sprawiedliwości wtóruje całkowite i przerażające milczenie. Można by powiedzieć, że tam w górze coś się zmieniło i że te same kanony, na których opierało się stare prawo, nie wzruszają już wcale sprawiedliwego Boga.

Tak, jest właśnie tak. Bóg sprawiedliwy obrócił na zawsze kartę sprawiedliwości. Ta karta była piękna, była prawdziwa, ale była niedopisana, przede wszystkim nie wyrażała dynamiki działania Boga, nieskończoności Boga. Śmiertelnemu człowiekowi w ślepych zaułku grzechu te kanony sprawiedliwości i prawdy nie potrafiły zapewnić zbawienia. Potrzeba było czegoś więcej; i to było tajemnicą ukrytą od wieków w Bogu.

I oto przyszedł Jezus!

Ale swoi Go nie przyjęli. I nie tylko nie przyjęli, ale Go wypędzili z miejsca zamieszkania, jak kozła ofiarnego, na pustynię.

Cała ludzkość wystąpiła przeciw Niemu, ubiczowała Go, opluła, znienawidziła.

A Jezus, całkowicie niewinny, naprawdę niewinny, dobrowolnie schylił głowę pod razami; nie przyzywał sprawiedliwości i płacił cierpieniem na swym ciele i duchu za grzechy wszystkich ludzi.

Od tej chwili i na zawsze zostało ustanowione

prawo przebaczenia, miłosierdzia i miłości, które stoi ponad sprawiedliwością.

Po wydarzeniu na Kalwarii wewnętrzny spokój człowieka nie zależy już tyle od prawdy i sprawiedliwości prawa, ile raczej od miłosierdzia rozdartego serca Boga, który stał się dla nas „grzechem” w Jezusie Chrystusie.

Skończyła się epoka ofiarnictwa, a została zapoczątkowana przez Jezusa dynastia „dobrowolnej ofiary”.

Jest to prawdziwa ofiara, milcząca ofiara, ofiara, którą można porównać z barankiem, ofiara, która chce być ofiarą i która unicestwia w ogniu swojej miłości chwasty niesprawiedliwości.

„Bóg miłuje radosnego dawcę”<sup>1</sup>, mówi św. Paweł; ofiara jest tym radosnym dawcą.

Bóg jest radosnym dawcą w swoim Chrystusie; Jego dar jest nieodwracalny; przebacza, i to zawsze, wszystkie grzechy; przywraca utracone dziewictwo, tchnie na nowo życie w wyschnięte kości grzesznika, przemienia ladacznicę w Marię Magdalenę, lekkoducha w świętego Franciszka. Życie zatryumfuje nad śmiercią, a wiosna powróci ze swoją pięknnością do ziemskiego gnojowiska.

„Jam zwyciężył świat”, zawołał Chrystus, czyniąc ofiarę ze swojego życia; i oto radość powraca, by ukwiecić naszą udręczoną cierpieniem miłość.

Tak; to, co stoi ponad sprawiedliwością, również i ja muszę osiągnąć.

Ażeby pokonać tę gangrenę ofiarnictwa, muszę wspiąć się na tę stromą górę, jak Jezus, muszę pisać się po zboczach mojego cierpienia i to z wysił-

---

<sup>1</sup> 2 Kor 9, 7.

kiem, by następnie zejść ku moim braciom, ku moim wszystkim braciom, a w pierwszym rzędzie ku tym, których moje zaćmione oczy chcą widzieć jako przyczynę moich nieszczęść.

Nie ma innego wyjścia. Jest to warunek sine qua non prawdziwego spokoju i zażyłości z Jezusem.

Dopóki będę tracił czas na samoobronę, nic nie osiągnę i pozostanę na uboczu prawdziwego chrześcijaństwa, oddalony od głębokiej znajomości Serca Jezusa. Powiniennem raz wreszcie zaniechać wyliczania swoich racji, ponieważ przed sobą zawsze znajdę brata, który wymieni swoje i spór będzie się toczył w nieskończoność.

Przebaczyć, naprawdę przebaczyć, oznacza w rzeczywistości przekonać siebie, że zasłużyliśmy na zło, które nam uczyniono. A co więcej: że trzeba cierpieć w milczeniu. A ponadto: że błogosławieństwo jest przeznaczone dla tych, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, jak to powiedział Jezus. Głupotą byłoby tracić z powodu próżności albo pychy cenną wartość takich momentów cierpienia i prześladowania.

Co powiedzieliby ludzie, gdyby, idąc za Jezusem, nagle ujrzeli, jak On się odwraca, pełen gniewu, do człowieka, który Go uderzył i jak krzyczy do niego: „Czy ty wiesz, kim Ja jestem?”

Ale nie. Jezus nie odwrócił się, aby się bronić, do tych, którzy Go znieważali; nie odwoływał się do swoich zasług ani nie chwalił się przed tłumem, który Go wiódł na śmierć krzyżową. Nade wszystko nie czuł do nich nienawiści w swoim Sercu i nie zamierzał ich czym prędzej posłać do piekła.

Ta nowość miłości Jezusa ukazuje się tutaj w całej pełni; On tak dobrze jej nauczał, a św. Łukasz tak dobrze to ujął i wyraził:

„Lecz powiadam wam, którzy słuchacie: Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. Jeśli cię kto uderzy w policzek, nadstaw mu drugi. Jeśli bierze ci płaszcz, nie broń mu i szaty”.<sup>2</sup>

Duch Jezusa jest tak jednoznaczny, jest tak bardzo jedyny w swoim rodzaju!

Św. Paweł, który bez wątpienia najlepiej potrafił wyrazić i oddać tę głębię ducha Serca Jezusowego, kiedy chciał podać zasady postępowania chrześcijanina w stosunku do Boga i do bliźniego, tak napisał w liście do Filipian:

„To dążenie niech was ożywia; ono też było w Chrystusie Jezusie.

On, istniejąc w postaci Bożej,  
nie skorzystał ze sposobności,  
aby na równi być z Bogiem,  
lecz ogołocił samego siebie,  
przyjawszy postać sługi,  
stawszy się podobnym do ludzi.

A w zewnętrznym przejawie uznany za człowieka,

uniżył samego siebie,  
stawszy się posłusznym aż do śmierci —  
i to śmierci krzyżowej”.<sup>3</sup>

W tych paru wierszach jest streszczenie wszelkich cnót i całej doskonałości.

„To dążenie Jezusa niech was ożywia.”

To „dążenie Jezusa”, to Jego pragnienie unie-

---

<sup>2</sup> Łk 6, 27 nn.

<sup>3</sup> Flp 2, 5 nn.

nia się, ażeby spełnić wolę Ojca i ażeby zbawić człowieka pozostanie na zawsze arcydziełem miłości Chrystusa.

Oto dlaczego nie wystarcza prawda i sprawiedliwość; oto dlaczego wzywa się nas, abyśmy poszli nieco dalej.

Im większe będzie w nas „dążenie do uniżenia się na podobieństwo Jezusa”, tym głębsza pokora zapanuje w naszym sercu i tym większy spokój przepełni nasze życie.

W rzeczywistości tych kilka linijek mówi wszystko o świętości człowieka na ziemi.

## BÓG RZECZY NIEMOŻLIWYCH

Z pewnego wypadku, który przeżyłem w głębi pustyni, wyszedłem z unieruchomioną nogą. Kiedy przybył lekarz — po ośmiu dniach — było już trochę za późno i być może pozostaną kulawy na całe życie.

Leżę na słomianej macie, w celi starego fortu saharyjskiego, i wpatruję się w plamy poczynione przez czas na ścianach z gliny, które obielili wapnem żołnierze Legii Cudzoziemskiej.

Czterdzieści pięć stopni ciepła utrudnia jakiegokolwiek myślenie. Pragnąłbym się modlić, ale w pewnych chwilach nawet modlić się nie jest łatwo.

Milczę i usiłuję przenieść się duszą poza ściany fortu, do małej pustelni, zwanej Kuba, w stylu arabskim, gdzie, jak wiem, znajduje się Najświętszy Sakrament.

Bracia są daleko przy pracy, jedni na polach, inni w fabryce.

Noga boli mnie potwornie i muszę zdobywać się na wielki wysiłek, żeby nie rozpraszać myśli.

Dobrze pamiętam pewne pytanie, które podczas audiencji postawił nam Pius XI: „Co Jezus robi w Najświętszym Sakramencie?” — a następnie oczekiwał od nas, studentów, odpowiedzi.

Nawet dzisiaj, po tylu latach, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

Co robi Jezus w Najświętszym Sakramencie?

Ileż to razy myślałem o tym...

A Jezus ma nie tylko jedną nogę, ale obie nogi

unieruchomione w Najświętszym Sakramencie, a także i ręce. Jest zamknięty w odrobinie białego chleba.

Świat Go tak potrzebuje, a On nie mówi. Ludzie tak bardzo Go potrzebują, a On się nie porusza!

Najświętszy Sakrament jest doprawdy milczeniem Boga, słabością Boga.

Bóg zamknięty w kawałku chleba, pogrążony w milczeniu — a życie świata jest tak hałaśliwe, tak gwałtowne, tak bujne.

Można by powiedzieć, że świat i Najświętszy Sakrament idą w przeciwnym kierunku.

Oddalają się od siebie prawie na nieskończoną odległość.

Potrzeba wiele wytrwałości, żeby nie dać się ponieść prądowi świata, potrzeba wiary i silnej woli, żeby iść pod ten prąd do Najświętszego Sakramentu, żeby zatrzymać się, zamilknąć, wielbić.

Potrzeba bardzo żarliwej wiary, by uwierzyć w niemoc, w porażkę Najświętszego Sakramentu, które są dzisiaj tym, czym była wczoraj niemoc i porażka na Kalwarii.

Jednak ten Jezus bezsilny, przybity gwoźdźmi, poniżony, jest Bogiem rzeczy niemożliwych, jest Alfą i Omegą, początkiem i końcem i, jak to opisuje św. Jan w Apokalipsie, „jest Wiernym i Prawdziwym, który ze sprawiedliwością sędzi i walczy. Oczy Jego jak płomień ognia, a wiele diademów na Jego głowie. Odziany jest w szatę we krwi skąpaną, a imię Jego nazwano »Słowo Boga«. A wojska, które są w niebie, towarzyszyły Mu na białych koniach — wszyscy odziani w białe, czysty bisior. A z Jego ust wychodzi ostry miecz, by nim uderzyć narody: On paść je będzie różgą żelazną i On wyciska tłocznię wina zapal-



czywego gniewu wszechmocnego Boga. A na szacie i na biodrze swym ma napisane imię: Król królów i Pan panów”.<sup>1</sup>

Jezus jest Bogiem rzeczy niemożliwych, a dokonywać rzeczy niemożliwych może tylko Bóg.

Toteż moja niemoc podkreśla Jego potęgę, a moja nicość stworzenia Jego wszechmoc Stwórcy.

Od Joba, zamyślonego i spierającego się z Bogiem wtedy, gdy popadł w chorobę i poniżenie, Bóg żądał aktu ufności. By go uzyskać, odwołał się Stwórca do wielkości stworzenia.

„Gdzieś był, gdy zakładałem ziemię?  
Powiedz, jeżeli znasz mądrość.  
Kto wybadał jej przestworza?  
Wiesz, kto ją sznurem wymierzył?  
Na czym się słupy wspierają?  
Kto założył jej kamień węgielny  
Ku ucieście porannych gwiazd,  
Ku radości wszystkich synów Bożych.”<sup>2</sup>

O wiele większe wrażenie od tej słynnej wypowiedzi, ukazującej potęgę Stwórcy i całkowitą niemoc stworzenia, by mogło dawać rady Bogu, robi na mnie dzisiaj pewne powiedzenie Jezusa w Ewangelii:

„Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa niebieskiego”.<sup>3</sup>

Przypomina mi się ta wypowiedź Jezusa za

---

<sup>1</sup> Ap 19, 11 nn.

<sup>2</sup> Job 38, 4 nn.

<sup>3</sup> Mt 19, 24.

każdym razem, ilekroć widzę wielbłąda i wówczas chce mi się śmiać.

Gdyby przynajmniej powiedział: „koniowi, wołowi...”, ale nie: wielbłądowi, z tym jego garbem!

Tak, doprawdy niemożliwością chyba jest przeprowadzić go z tym garbem przez ucho igielne.

Stworzenie sklepienia niebieskiego jest na pewno znakiem wielkiej potęgi, ale przeprowadzenie wielbłąda przez ucho igielne wydaje mi się jeszcze czymś większym: to są właśnie te rzeczy niemożliwe.

Dlatego też zadziwionym apostołom, którzy pytają: „Któż więc może się zbawić?”, Jezus odpowiada z całkowitym spokojem: „U ludzi to niemożliwe, lecz u Boga wszystko jest możliwe”.

„Ojcie, dla Ciebie wszystko jest możliwe”, powie Jezus w czasie modlitwy w Getsemani. Wszchemoc jest rzeczywiście przymiotem Boga.

I przeciwnie, jest coś, co jest tylko moją cechą: nicość, słabość, marność, niemoc.

Mam tego tak wiele, że nie do pomyślenia jest, aby to wszystko na coś nie mogło się przydać.

Należy zastanowić się nad tym, należy wykorzystać ten ogromny kapitał. Czy to możliwe, żeby fala błota, zwanego grzechem, która zalała cały świat już prawie na początku istnienia człowieka i która nabiera w pewnych chwilach tak olbrzymich i przerażających rozmiarów, była czymś zupełnie bezużytecznym dla wszchemocy Boga?

Czy to możliwe, żeby słabość pod tak różnymi i widocznymi na co dzień postaciami jak zmęczenie, starość, choroba, bezsilność, grzech, śmierć, była jedynie czymś, co mnie przygniata i żeby nie

miała w sobie jakiegoś ukrytego głębszego znaczenia?

Czy odpadki na nic się już nie mogą przydać?

Czy zło pozostanie jedynie porażką Boga, który jest Miłością?

Kiedy myślę o moich wieczornych rachunkach sumienia, spostrzegam, że są one w większym stopniu wyliczaniem rzeczy nie dokonanych albo źle zrobionych niż wyszczególnieniem rzeczy udanych i dobrych.

A nawet gdy przyjmę, chociaż na chwilę, że moja dusza osiągnęła pewną równowagę, że nastąpiło całkowite wykluczenie dobrowolnej obrazy Boga, nic bardziej nie uświadamia mi mojej nieskończonej nicości i nędzy niż przerażające stwierdzenie, że nie jestem zdolny do dzielenia się swoją miłością.

Powraca do mnie stale bolesne wspomnienie koca, którego nie dałem staremu Kadà i czuję prawie fizycznie, że jestem niezdolny do dokonania aktu doskonałej miłości.

Tego samego doświadczyłem w modlitwie.

Zdany jedynie na siebie i tylko na własne siły, zrozumiałem do głębi tę prawdę, że bez pomocy Bożej nie możemy nawet powiedzieć ani razu „Abba, Ojczy”.

Są takie chwile, kiedy Bóg doprowadza nas do ostatecznej granicy naszej niemocy i dopiero wtedy, i tylko wtedy, pojmujemy do głębi naszą nicość.

Przez tak wiele lat, przez tyle lat, walczyłem ze swoją niemocą, ze swoją słabością. Najczęściej ukrywałem ją, pragnąc ukazywać się ludziom pod piękną maską pewności siebie.

To pycha nie dopuszcza niemocy, to wyniosłość nie godzi się, żebym był mały; i Bóg niekiedy dawał mi to poznać.

Teraz już nie walczę, usiłuję zdać sobie sprawę ze swego stanu, rozważyć moją rzeczywistość bez złudzeń, bez marzeń, bez upiększeń.

Jest to krok naprzód, tak sędzę. Gdybym zrobił go wtedy, kiedy uczyłem się na pamięć katechizmu, zaoszczędziłbym czterdzieści lat.

Teraz całą moją niemoc stawiam naprzeciw wszechmocy Boga: stos moich grzechów pod słońcem Jego miłosierdzia, przepaść mojej nicości wobec nieograniczonej głębi Jego wielkości.

I wydaje mi się, że nadeszła chwila spotkania z Nim, spotkania, jakiego dotąd nie było, mojego obcowania z Nim, takiego, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem, okazywania przez Niego miłości, jakiej nigdy nie doświadczyłem. Tak, to właśnie ta moja nędza przyciąga Jego potęgę, to moje nieszczęścia przywołują Go żalnym głosem, to moja nicość ściąga na mnie ten bezmiar Tego, który jest Wszystkim.

I w tym spotkaniu się tego Wszystkiego, którym jest Bóg, i tego niczego, którym jest człowiek, tkwi największy cud stworzenia.

Są to najpiękniejsze zaślubiny, gdyż są zawarte między Miłością bezinteresowną, która się oddaje bez reszty, a miłością bezinteresowną, która przyjmuje wszystko.

Ujawnia się tu w całej okazałości prawda o Bogu i o człowieku.

Uznanie tej prawdy zawdzięcza się pokorze i dlatego to właśnie bez pokory nie ma prawdy, a bez prawdy nie ma pokory.

„Respexit humilitatem ancillae suae”<sup>4</sup>, wyśpiewała Maryja, kiedy ujrzała, jak spływa na Jej nicość prawdziwa miłość Boga i kiedy uświado-

---

<sup>4</sup> „Bo wejrzał na uniżenie służebnicy swojej” (por. Łk 1, 48).

miła sobie, że Jej ciało staje się mieszkaniem i pożywieniem dla Słowa Wcielonego.

Jakież to cud, że ta nicość, jaką była Maryja, przyciąga to Wszystko, którym jest Bóg!

Jakaż uniżoność w Jej modlitwie, kiedy uświadamia sobie, że znajduje się na płaszczyźnie tak krańcowo przeciwstawnej do wielkości Boga, tam, gdzie bycie małym nie jest już tylko dobrowolną zgodą, ale jest wymogiem miłości.

Jakież spokój w tym Jej całkowitym zdaniu się na „Niego”, bez „egocentrycznych” zwrotów, bez „samolubnych” uniesień. Ogarnia Ona jedynie bezgranicznie rozkoszującym się spojrzeniem kontemplacyjnym wielkość i doskonałość kochającego Boga.

Nie istnieje doskonalszy związek między Bogiem a człowiekiem. To Maryja zapoczątkowuje na zawrotnej wysokości, nieosiągalny wprawdzie dla nas, ale mogący być dla nas przykładem, stan, do jakiego może dojść dusza pobożna, zraszana łaską Boga.

I oto wydaje mi się, że wreszcie po tylu latach znalazłem rozwiązanie tajemnicy, całej tajemnicy tego świata.

Dotknąłem ręką mojej całkowitej niemocy i to było dla mnie łaską.

Kontemplowałem w wierze, w nadziei i w miłości wszechmoc Boga i to także było dla mnie łaską.

Bóg może wszystko, ja nie mogę nic. Ale gdy tę moją nicość włączę w modlitewny i pełen miłości kontakt z Bogiem, wtedy wszystko stanie się we mnie możliwe.

Wracam myślą do tego dnia, kiedy zostałem przygnieciony wielkim kamieniem z powodu mo-

jego egoizmu i zamknięty w moim czyścicu, dlatego że odmówiłem koca staremu Kadà.

Jedno jest pewne: czuję, że jestem całkowicie niezdolny do dokonania aktu miłości doskonałej, do podążania za Jezusem na Kalwarię i do tego, by umrzeć z Nim na krzyżu.

Upłyną z pewnością tysiące i tysiące lat, a moje położenie jako człowieka się nie zmieni.

A jednak... jednak to, co jest niemożliwe dla mnie, ponieważ jestem tym bogaczem z Ewangelii, jest możliwe dla Boga.

I właśnie On da mi łaskę, dzięki której przemienię się i stanę się zdolny do dokonania rzeczy niemożliwej: do odwalenia tego kamienia, który mi zagraża drogę do Królestwa.

Chodzi więc tylko o wyczekiwanie w całkowitym zdaniu się na Boga, o pokorną i pełną ufności modlitwę, o cierpliwy wysiłek, o nadzieję.

I wtedy to Bóg rzeczy niemożliwych odpowie na wołanie mojej miłości.

## PRZYJAZNA NOC

Kiedy przybyłem na Saharę przed pięcioma laty, nie lubiłem nocy. Zbyt mocno tkwił we mnie sposób spędzania jej w Europie, z pewnością nie najlepszy, a nade wszystko najmniej sprzyjający zachowaniu spokoju i odzyskaniu sił.

Dla wielu ludzi noc oznacza trud, który następuje po trudzie dnia; dla innych rozrywkę, a dla jeszcze innych oznacza bezsenność, nudę i tym podobne rzeczy: wszystko to przy drażniącym i wyczerpującym migotaniu neonów.

Tutaj noc jest zupełnie czymś innym.

Tutaj noc jest przede wszystkim odpoczynkiem. Po zachodzie słońca cała natura się uspokaja, układa się do snu, jakby pod wpływem nagłego dotknięcia boskiej różdżki.

Wiatr, który towarzyszył nam swoim wyciem i wściekłością prawie przez cały dzień, cichnie, upał mija, powietrze staje się orzeźwiające i przejrzyste i wszędzie nastaje spokój, jakby ludzie i wszystko, co ich otacza, chcieli odzyskać siły po wyczerpującym zmaganiu się z trudami dnia i prażącym słońcem.

Tak, noc tutaj jest zupełnie czymś innym, nie straciła swojej dziewiczości, tajemniczości: pozostała taką, jaką ją Bóg stworzył, Jego stworzeniem, które przynosi dobro i życie.

Kiedy skończyłeś pracę, kiedy zatrzymała się karawana, wyciągasz się na piasku, z kocem zwinionym pod głową, i odpoczywasz, upajając się długo i z rozkoszą ożywczym powiewem, który

zajął miejsce tamtego twojego nieprzyjaciela, suchego i palącego wiatru, wiejącego w dzień.

Później oddalasz się od obozowiska i idziesz ku pustynnym wydmom na modlitwę. Czas upływa nie zakłócany pośpiechem ani nagłym tykaniem zegarka. Nie przynagla cię żaden obowiązek, żaden hałas cię nie rozprasza, nic nieprzewidzianego cię nie czeka; czas w całości należy do ciebie. Rozkoszujesz się przeto modlitwą i ciszą, a na niebie w tym czasie zapalają się gwiazdy.

Kto tego nie widział, nie potrafi wyobrazić sobie, czym są gwiazdy w pustynnym krajobrazie! Całkowity brak sztucznych świateł i bezkresna rozległość horyzontu powiększają jeszcze ich ogrom i blask: jest to doprawdy fascynujący widok.

Jedynie obozowe ognisko, nad którym gotuje się woda na herbatę i pieką się pszenne placki na kolację, dodaje swoje wątle i migotliwe światełko do tego iskrzącego się nieba.

Już po pierwszych nocach spędzonych tutaj sięgnąłem po podręczniki astronomii i po mapy nieba i przez całe miesiące poświęcałem swój wolny czas na ich studiowanie, żeby choć w części poznać to, co się dzieje tam w górze, w bezkresnych przestworzach wszechświata.

Wszystko to sprawiało mi radość i było treścią dla mojej modlitwy uwielbienia.

Klęcząc na piasku, nie odrywałem całymi godzinami oczu od tych wspaniałych cudów i jak mały chłopiec zapisywałem swoje nowe odkrycia w notesie.

Spostrzegłem na przykład, że orientowanie się na pustyni jest o wiele łatwiejsze w nocy niż w dzień, gdyż wówczas punktów wskazujących kie-



runek jest o wiele więcej i są całkowicie niezawodne.

W ciągu pięciu lat, z których cztery ze względu na pracę spędziłem w samym sercu pustyni, właśnie dzięki gwiazdom nigdy nie zablądziłem.

Ileż to razy, kiedy szukałem obozu Tuaregów albo jakiejś odległej stacji meteorologicznej, światło dnia, podmuchy piasku, zbyt oślepiające słońce, powodowały, że zbaczałem ze szlaku.

I wtedy czekałem na noc i odnajdywałem zagubioną drogę według niezawodnych nigdy gwiazd.

Noc saharyjska, ze swoim sklepieniem nieba usianym gwiazdami, jest nie tylko fantastyczną mapą określającą położenie, lecz również miejscem odpoczynku dla duszy.

Po całym dniu — z tym rażącym światłem — dusza stała się podobna do domu z oknami bez okiennic, które zostały wyrwane z zawiasów przez wiatr albo wypaczyły się pod działaniem słonecznego żaru.

Ale za to w nocy!

Stopniowo okna duszy są od nowa doprowadzane do porządku, zamykane, czy raczej z lekka przymykane przez mrók; a oczy, szeroko otwarte, mogą przez te okiennice, troszkę uchylone, bez trudu i wysiłku przyglądać się spokojnie wszystkiemu, co znajduje się dookoła.

Nie; nie zapomnę nigdy tych nocy pod gwiazdami Sahary. Czuję się pyłkiem spowitym przyjazną ciemnością przetykaną gwiazdami.

Tak; przyjazna noc, pełna czułości otaczająca czerń, orzeźwiająca, pożyteczna i życiodajna ciemności.

W nich to właśnie moje życie wewnętrzne nie tylko nie zamiera i nie zostaje stłumione, ale prze-

ciwnie, może się rozwijać, nabierać sił, rozrastać się, radować.

Czuję się jak u siebie w domu, bezpieczny i spokojny, otulony tą pełną miłości wiernością przyjaznej nocy, pragnę trwać tak całymi godzinami; jestem tylko zmartwiony jej krótkotrwałością, bo chciałbym bez końca odczytywać w sobie i wokół siebie te znaki i symbole boskiego języka.

Przyjazna noc jest obrazem wiary, to jest tego daru Boga, o którym św. Paweł powiedział, że „jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy”.<sup>1</sup>

Nigdy jeszcze nie znalazłem odpowiedniejszego porównania na oddanie moich związków z Odwiecznym niż ten obraz: zagubiony punkcik w nieskończonej przestrzeni, spowity głęboką nocą pod migotliwym światłem gwiazd.

Tym punkcikiem zagubionym gdzieś w bezkresnej przestrzeni jestem ja; te konieczne ciemności, które są niezastąpionym przyjacielem, to wiara; a gwiazdy to znak, że Bóg jest.

Kiedy moja wiara była słaba, kiedy jeszcze nie była wypróbowaną przez mój wysiłek i życie zakonne, mogła mi się wydawać niezrozumiała, a nawet zatrważająca jak noc dla dziecka. Ale teraz, kiedy ją posiadam w pełni, kiedy jest rzeczywistością moją, zaznaję rozkoszy żyjąc w niej, żeglując w niej jakby po morzu, nie uważam już jej za nieprzyjazną, nie budzi już we mnie strachu; wprost przeciwnie, sprawia mi radość właśnie przez swoje ciemności i Boską transcendencję.

Niekiedy lubię zamknąć oczy, żeby chłonąć jesz-

---

<sup>1</sup> Hbr 11, 1.

cze więcej ciemności. Ale nadal wiem, że gwiazdy są tam, na swoim właściwym miejscu, by mówić mi o niebie; a ja przez chwilę mogę sprawdzać, dlaczego niezbędna jest ciemność.

Niezbędna jest ciemność, niezbędny jest mrok wiary, żebyśmy nie zostali porażeni tak bardzo olśniewającym światłem Boga.

Ze względu na moją człowieczą naturę nie ma dla mnie innej możliwości; i coraz lepiej rozumiem, że wiara nie jest tajemniczym i okrutnym wybiegiem Boga, który ukrywa się nie mówiąc mi dlaczego, lecz jest niezbędną i niezastąpioną zasłoną po to, by to moje odkrywanie Stwórcy następowało stopniowo, w kolejnych etapach rozwoju we mnie Jego życia.

„Nikt nie może zobaczyć Boga, zanim nie umrze”, mówi Pismo święte i oznacza to, że stanąć przed Nim twarzą w twarz i zobaczyć Go mogą jedynie ci, którzy przeszli przez stadium śmierci.

W stadium życia ziemskiego — które jest pierwsze — to światło jest tak wielkie i jest taka bezkresność tajemnicy i tak wielkie niedostosowanie ludzkiej natury, że potrafię przeniknąć Go tylko w niewielkim stopniu. Najpierw poprzez symbole, później na podstawie doświadczenia i wreszcie przez kontemplację, której mogę zaznać już na tej ziemi, jeżeli pozostanę wierny miłości do Boga.

Ale będzie to tylko początek, przyzwyczajenie oczu duszy do przyjmowania tego tak wielkiego światła, lecz sam proces poznawania będzie trwał bez końca. Ale tajemnica pozostanie zawsze, gdyż tak bardzo przerasta nas ta nieskończoność Boga.

Bo czymże jest w rzeczywistości to nasze życie na ziemi, jeśli nie ciągłym odkrywaniem, uświadamianiem sobie, przenikaniem, kontemplowa-

niem, przyjmowaniem, miłowaniem tajemnicy Boga, tej jedynej i prawdziwej rzeczywistości, która nas otacza i w której jesteśmy rozsiani jak meteoryty w bezkresnym wszechświecie? „In Deo vivimus et movemur et sumus!”<sup>2</sup>

Nie ma dużo tajemnic; jest tylko jedna, od której wszystko zależy i od której nie można uciec, gdyż jest tak ogromna, że wypełnia cały wszechświat.

Ludzkie odkrycia nie potrafią wyjaśnić ani krzty problemu: tysiące lat, które jeszcze przejdą, nie dorzucą nic więcej do tego, co zawarł już prorok Izajasz w swojej wypowiedzi na temat „Deus absconditus” i co sam Bóg oznajmił Mojżeszowi, gdy ten stanął przed gorejącym krzewem: „Ego sum, qui sum.”<sup>3</sup>

Być może, niebo nie było tak nieprzeniknione dla Abrahama i dla współczesnych mu ludzi, koczujących pod namiotami, jak dla dzisiejszego człowieka. I może wiara była łatwiejsza dla średniowiecznych poetów niż dla ludzi techniki dwudziestego wieku. Ale w rzeczywistości nic się nie zmieniło i nasz kontakt z Bogiem pozostał taki sam jak przedtem.

Być może z całą ludzkością dzieje się tak, jak z każdym człowiekiem z osobna, któremu, im bardziej staje się dojrzały, tym bardziej potrzebna jest wiara ogołocona z sentymentalizmu i wyzuta z poezji. I prawdopodobnie droga pozostanie taka sama również i dla ostatniego człowieka, który narodzi się na tej ziemi. „Tym właśnie zwycięstwem, które zwyciężyło świat, jest nasza wiara.”<sup>4</sup>

Bóg domaga się od człowieka pełnego zaufania.

---

<sup>2</sup> „Bo w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (por. Dz 17, 28).

<sup>3</sup> „Jestem, Który Jestem” (por. Wj 3, 14).

<sup>4</sup> 1 J 5, 4.

Wyraża się ono w prawdziwym i autentycznym podporządkowaniu się stworzenia Stwórcy, jest aktem uległości i miłości.

To „zaufanie do Boga”, „zawierzenie Wszechmogącemu”, to zaspokajanie naszego pragnienia poznawania w bezkresnym morzu Jego ojcostwa, to przyjmowanie Jego tajemniczego planu, to wejście do Jego szkoły, aby słuchać Jego Słowa, ta „umiejętność słuchania” — jest prawdziwym aktem adoracji godnym człowieka na tej ziemi.

Ale gdy przez pychę nie chcemy wstąpić na drogę wiary i odwracamy się od nadprzyrodzonej rzeczywistości, i gdy zamykamy oczy przed świadectwem gwiazd, cóż przez to zyskujemy? Czy może pogłębia się w ten sposób nasza znajomość tajemnicy? Czy może gdzieś indziej potrafimy znaleźć więcej światła dla naszej nocy?

Bo w rzeczywistości co my wiemy?

Cóż możemy powiedzieć o Bogu, o Wcieleniu Słowa, o Eucharystii, my, którzy tak mało wiemy o otaczającym nas wszechświecie? O tym, co dzieje się po śmierci? O bólu zwierząt i o przeznaczeniu świata? O tym, co się dzieje na Andromedzie i o tym, co czuje gazela, z której uchodzi życie?

To, co wiemy, to niewiele więcej niż nic, i to prawie nic, które wiemy, jest nieściśle i niepewne, i takie pozostanie, jeśli nie będziemy próbowali odkryć pierwszych przyczyn.

Ogarnia nas z pewnością uczucie przestrochu przy takim odkrywaniu, kiedy podświadomie usłyszymy pytanie: „Dopiero dzisiaj do tego doszedłeś?”

Jakże prawdziwe i cenne pozostaje nadal zalecenie Jezusa: „Jeśli nie odmienicie się i nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie...”<sup>5</sup>

<sup>5</sup> Mt 18, 3.

To, co chciałem powiedzieć na temat wiary, dotyczy wszystkich. Nikt nie może uciec od tej rzeczywistości, która jest darem Boga; potrzebuje ona jednak, do swego spełnienia, naszego wysiłku.

Bóg daje nam łódź i wiosła i mówi nam: „Ty sam masz wiosłować”. Dokonywanie pozytywnych aktów wiary jest jej rozwijaniem i wzmacnianiem; ćwiczenie bowiem zawsze rozwija umiejętność, tak jak gimnastyka rozwija mięśnie.

Dawid udoskonalił swoją wiarę, kiedy postanowił podjąć walkę z Goliatem, Gedeon ćwiczył się w wierze nie tylko wtedy, gdy domagał się od Boga doświadczenia z runem wilgotnym od rosy, ale i wtedy, gdy szedł do walki wraz z garstką wojowników przeciw o wiele potężniejszemu wrogowi.

Abraham stał się przykładem człowieka głębokiej wiary, kiedy zgodził się na ślepe posłuszeństwo, mające się wyrazić w ofiarowaniu własnego syna.

Św. Paweł napisał w liście do Hebrajczyków: „Dzięki wierze to przodkowie otrzymali świadectwo”. A dalej pisze: „Przez wiarę ponieśli katusze, nie przyjmawszy uwolnienia, aby otrzymać lepsze zmartwychwstanie. Inni zaś doznali zelżywości i biczowania, a ponadto kajdan i więzienia. Kamienowano ich, przeryzano piłą, kuszono, przebijano mieczem; tułali się w skórach owczych, kozich, w nędzy, w utrapieniu, w ucisku — świat nie był ich wart — i błakali się po pustyniach i górach, po jaskiniach i rozpadlinach ziemi”.<sup>6</sup>

I oto spośród tych wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy żyli taką wiarą, wyróżniają się dwie postacie, osiągając prawie nadludzką dojrzałość.

---

<sup>6</sup> Hbr 11, 2. 35 nn.

Pojawiły się na pograniczu Starego i Nowego Testamentu i zostały powołane przez Boga do tak wielkiego i wzniosłego dzieła, że niebo wprost zastygło w oczekiwaniu na ich zgodę: byli to Maryja i Józef.

Maryja miała stać się Matką Słowa, miała dać ciało i krew Synowi Bożemu, Józef miał osłaniać tę tajemnicę stając u Jej boku, aby wszyscy wierzyli, że Jezus jest jego synem.

Dla tych dwóch postaci noc wiary była nie tylko pełna ciemności, ale również bardzo bolesna.

Pewnego dnia Józef, który był zaręczony z Maryją, pojmuje, że zostanie Ona matką; wie, że to dziecko nie jest jego.

Czy są takie słowa, które by były zdolne przekonać oblubieńca, że tajemnicy tego poczęcia należy szukać jedynie w Bogu?

Żadne ludzkie rozumowanie nie mogło przywrócić spokoju i pogody ducha Józefowi. Jedynie wiara; ale była ona tak mroczna, że z trudem zdołała przywieść duszę na tak zawrotne wysokości.

I właśnie ta naga i pełna bolesnych doświadczeń wiara podtrzyma na duchu tego męża, postawi go u boku Matki Boga, by Jej towarzyszył w Jej przeznaczeniu, by w pełni uczestniczył w Jej posłannictwie.

Och, nie jest wcale łatwo pójść śladami człowieka, którego przeznaczeniem jest cierpieć i być mężem Kobiety, która ma być nazwana Matką Bolesną.

I oto Dzieciątko się narodziło.

I owszem, nawet zjawili się aniołowie, aby nieco rozproszyć te ciemności; ale zaraz potem niebo otula się jeszcze większymi ciemnościami; dzieci z całego miasteczka zostały wymordowane z po-

wodu tego Dziecięcia; Józef i Maryja uciekając słyszeli płacz i lamenty matek z Betlejem.

Dlaczego? Dlaczego Wszechmogący milczy? Dlaczego nie unicestwi Heroda? Nie, muszą żyć wiarą. Muszą uciekać do Egiptu, stać się wygnańcami, uciekinierami, pozwolić zatryumfować okrucieństwu i niesprawiedliwości. I tak aż do końca.

Bóg nie ułatwił życia tym, których postawił przy swoim Synu; zażądał od nich wiary tak czystej i tak bezgranicznej, że tylko te dwie dusze o tak głębokiej pokorze mogły w niej żyć.

Cóż to za niezwykłość mieszkać przez trzydzieści lat w domu, w którym przebywa Bóg pod postacią zwykłego człowieka, jeść z Nim, słyszeć Jego głos, widzieć, jak śpi, jak Mu spływa pot z czoła i jak Mu się robią na rękach odciski z ciężkiej pracy!

A we wszystkim tym jest tyle zwykłości, jest to tak zwyczajne i powszednie: do tego stopnia jest to zwyczajne, że nawet Go gubią podczas pielgrzymki, co przecież mogło się przydarzyć jakiegokolwiek rodzinie; jest w tym tyle powszedniości, że nikt, ale to nikt, nie odkrył tajemnicy, nikt nie zorientował się, że syn cieśli jest Synem Bożym, Słowem, które stało się ciałem, nowym Adamem, Niebem na ziemi.

Mój Boże, cóż to za wielka wiara!

Maryjo, Józefie, jesteście naprawdę i pozostaniecie na zawsze wspaniałymi nauczycielami wiary, doskonałym przykładem, na którym powinniśmy się wzorować w naszym postępowaniu, przykładem, który potrafi wskazać nam właściwą drogę, wspierać nas w naszej słabości.

Tak jak niegdyś byliście u boku Jezusa, tak dzisiaj bądźcie przy nas, by nam towarzyszyć w naszej wędrówce do Odwiecznego, by uczyć nas



być małymi i ubogimi w naszej pracy, cierpliwymi na wygnaniu, pokornymi i niepozornymi w życiu, odważnymi w życiowych doświadczeniach, wiernymi w modlitwie, żarliwymi w miłości.

A kiedy nadejdzie godzina naszej śmierci, gdy poranna zorza rozjaśni naszą przyjazną noc, oby nasze oczy mogły, wpatrując się w niebo, zobaczyć tę samą gwiazdę, która zajaśniała na Waszym niebie, gdy Jezus przyszedł na ziemię.